.... St. „Gospoda Polska“

za przetrzymanie książki poza wskazany termin abonament płaci 5 fen kary za każdy dzień.

NA CHLEBIE U DZIECI.

Powieść

Klemensa Junoszy (Szaniawskiego)

z 5-ma rysunkami.

SKŁAD GŁÓWNY
w Księgarni Wacława Obuchowskiego

w Warszawie, ulica Szpitalna № 5.
1894.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 26 Апреля 1894 года.

Druk Józefa Jeżyńskiego, Warszawa, Danielewiczowska 16.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Kłopoty starego Pypcia.

Kowal w Suchowoli nazywał się Kusztycki Walenty; siedział w małej chałupce przy kuźni od lat dawnych; za żoną wziął trzy morgi gruntu w sześciu działkach, kuł wozy i pługi, siekiery nastalał, konie podkuwał—i dobrze mu się działo. Inny na jego miejscu byłby pieniędzy sporo nazbierał, ale Walenty lubił wypić czasem, o co z żoną miewał sprzeczki.

Co prawda, kobieta miała rację. Mając gospodarstwo, rzemiosło i inne sposoby do życia, można było kabzę nabić rzetelnie, a tymczasem Walenty nie dość, że grosza nie schował, jeszcze zawsze od żydów pożyczał i ciągle był im winien.

Przychodzili też żydziska do kuźni, jak do swojej.

— Walenty! okujcie mi szkapę! Walenty, naprawcie mi wóz! Walenty zróbcie mi kratę do okna! Walenty to, a owo!

Kowal mruczał, klął czasem, ale, koniec końców, kładł żelazo w ogień i robił, co mu kazali,— a trzeba i to wiedzieć, że jak był zły, to mu się robota w ręku paliła. Kuł tak, że się iskry, jakby z dachu podczas pożaru wielkiego, sypały.

Wtenczas trudno było do Kusztyckiego przystąpić, bo nikomu pardonu nie dawał — i zaraz z jakiem niepolitycznem słowem się wyrwał. Żona tylko nie bała się go i mogła w każdym czasie do niego mówić, gdyż przed nią jedną mores znał. I teraz oto Kusztycki majstrował coś koło wasąga Nuchymka, słynnego faktora z miasteczka, gdy nadszedł Pypeć Wincenty, gospodarz Suchowolski, zapraszając kowala na poczęstunek za pług, co mu go wczoraj naprawił.

— Poczęstunek, poczęstunkiem — rzekł Kusztycki na zaprosiny, — ale muszę wprzód to oto żydowskie wozisko zreperować.

— To jakby Nuchyma wóz?

— A juści tego łapserdaka.

— Dobrze i parę złotych zarobić.

— Aha! co ja od niego zarobię, to na palcu upiekę. Z djabłem się takim zarobkiem podzielić!

— Musi was żyd dobrze w garści trzyma?

— Wiadomo! żeby nie trzymał, tobym mu przecie darmo nie robił. Pomóżcie mi mój Wincenty, jakeście dobrzy, bo muszę tę robotę skończyć.

Pypeć przy miechu stanął, kowal do roboty się wziął.

— Psia kość, — odezwał się Pypeć, wzdycha-



Pypeć przy miechu stanął, kowal do roboty się wziął.

jąc, — sprawiedliwie ludzie powiadają, że bieda nigdy sama jedna nie przychodzi. Zawdy się za nią inne wloką.

— A cóż to wam takiego?

— Ha, dużoby o tem gadać, mój panie Kusztycki...

— Zawsze widzicie, jak człowiek powie drugiemu, to niby lżej. Cóż wam dolega?

— Jedną biedę sami widzieliście wczoraj — konisko oto mało mi się nie zmarnowało, ale, Bogu dziękować, wylekowaliśmy go.

— Nic mu nie będzie... a druga?

— Oj, druga bieda daleko gorsza i dawniejsza też. Tak, powiadam wam, mój Kusztycki, chodzę jak nie swój, a jak zacznę o niej rozmyślać, to mi we łbie huczy, jak u was w miechu.

— Uważam, że to jakaś ciężka rzecz?

— Ciężka, moi złoci, ciężka... i co ja sobie chudziak za radę dać mogę? Ja jeden—a ich troje, i baba, niby moja kobieta, ich stronę trzyma.

— To z dziećmi kwestja?

— A z dziećmi. Teraz taki świat, że lada dzieciak chciałby być gospodarzem... Przy ojcu, matce, siedzieć wstydzą się, jeno zaraz na swoje.

— Aha... miarkuję ja, co to jest...

— One też mają swoją ambicję. Ty, powiadają, ojcze, będziesz miał przy nas kawałek chleba do śmierci, a grunt pomiędzy nas rozdziel. Po co mamy, powiadają, czekać na twoją, niby na ojcową, śmierć... lepiej niech, powiadają, za żywota ojciec między dziećmi zrobią skutek — to,

powiadają, i ojciec będą spokojni, i dzieci nie będą waszej, niby ojcowej, śmierci wyglądały...

— Mądre bestje!

— A juści. Powiadają tak: macie ojciec ukazowych piętnaście morgów, coście na nich jeszcze za pańszczyzny siedzieli; za serwituty dostaliście ojciec powiadają, morgów cztery, a kupiliście ojciec od Skowronka morgów dwa, co od Maćkowego pola, macie tedy morgów dwadzieścia jeden; podzielicie na troje, podług równości, na każde po siedem i będziecie se spali spokojnie.

— Aha!—rzekł Kusztycki, uderzając młotem w rozpalone żelazo—ojciec dzieciom wszystko oddadzą, a sami co będą jedli?

— Ja też mówiłem do nich to samo.

— A to dobrze, żeście mówili.

— Dobrze, albo i nie dobrze...

— No?

— Zara najstarszy Ignac z gębą na mnie — a to, powiada, ojciec co sobie myślą? Czy my psy?

— Ciekawość, do czego on zaś miał tu psa przyczepić?

— A no, niby podług tego, jako że dzieci są sprawiedliwe, dobre, kochające—i że niby, ani ojcu, ani matce żadnego od nich przeszkodzenia nie będzie.

— Ignac tak gadał?

— A Ignac... tak samo i Nastka, i Florek.

— Co? ten smyk... a toć jemu jeszcze bydło paść.

— Ale! już dwa razy do wojska stawał — teraz żenić się chce i też gospodarzem być.

— Patrzajcież!

— Już on najbardziej gardłuje, a za nim Ignac.

— Nastka nie?

— Onaby nawet i całkiem ani jednego słówka nie rzekła, tylko znowuż według męża. Powiada: tatuniu, dzieci mamy, powiada, mężowska fortuna nie starczy, bieda, powiada...

— Juści prawda. Wielkiego tam smaku niema.

— Wiadomo, wiadomo, mój panie Kusztycki; nie bardzo mi się z oną Nastką poszykowało. Nie wymawiając, jak wychodziła za Michała, dałem czystemi pieniędzmi sto rubli jak lodu, w całkości, w jednym papierku, i krówsko sprawiedliwe, graniaste, swego chowu — i wesele sprawiłem, nie chwalący się, że do dziś dnia ludzie w Suchowoli pamiętają. Cały tydzień weselili się, a samemu Mendlowi za wódkę zapłaciłem siła pieniędzy.

— Pamiętam, pamiętam, — potwierdził Kusztycki, — porządne było wesele, co się nazywa.

— A dyć. I kobieta moja nawarzyła, napiekła różności: chleba, placków, mięsiwa. Prosiaka takiego zadusiliśmy, coby za jakie pół roku był wart najbiedniej ośm rubli.

— Ojciec dla dziecięcia wszystko zrobi.

— Oj prawda! Taki prosiak! a przecie nie żałowałem... Żeby ludzie nie powiedzieli, jako Pypciowa córka ma ladajakie wesele!... a co i z tego, mój Kusztycki! Było trzy tygodnie dobrze,

drugie trzy gorzej, a potem... et, wszystko się na gorsze obróciło... Ona nie gospodyni, on utratny, i między sobą też zawdy coś mają, nawet raz ona jego ukropem oparzyła, a on jej znów oko podbił.

— Żeby jeno na tem był skutek, to bajki.

— I ja tak powiadam. Powadzą się, niby mąż z żoną, to się i pogodzą — ale jest tam jeszcze ponoś i gorzej.

— Słyszało się coś, słyszało,—rzekł kiwając głową Kusztycki.

— A cóżeście słyszeli znowu?

— Niby coś, niby nic, rozmaicie—niema co powtarzać.

— Najgorzej, że na mnie nastają... o ten grunt. Ojciec, powiadają, starzy, ojcu po pieniądzach, powiadają, nic. Ojciec będą sobie, powiadają, leżeli na piecu, będą sobie fajkę palili.

— Aha!

— Powiadają: ojciec dość się nadźwigali sochy, nałazili za broną. Ojcu odpocznienie się należy. Tak Nastka mówi i jej chłop przytwierdza. Ignac mi przejścia spokojnego nie da, a Florek też doszczekuje. Powiada, co sobie ojciec myśli? mnie, powiada, żenić się czas, upatrzyłem sobie dziewuchę podług woli i upodobania.

— Już upatrzył?

— A toć upatrzył... z piekła rodem.

— No?

— Wiktę Zawodziankę.

— Ho! ho! Juści co prawda, dziewka dorodna,

ale mnie się widzi, że coś o niej za dużo gadają.

— A gadają. Mnie się widzi, że to ona buntuje Florka na mnie, według onego gruntu.

— Et, co tam będziecie słuchali. Powiedzcie: nie dam, — i już.

— Spokoju nie dają.

— Ha, to obiecywać, obiecywać, a zwłóczyć.

— I tegom ci ja próbował, ale już mnie teraz okrutnie przyparli. W sobotę chcą do rejenta jechać. My, powiadają, ojcu zapiszemy utrzymanie do samej śmierci i matce; dopóki, powiadają, będziecie żyli, damy wam het precz, wszystko, co jeno potrzeba do odzienia i wiktu.

— I cóż wy na to?

— Ha! tak i będę musiał przystać, co mam robić?

— Słuchajcie-no, Wincenty, — rzekł kowal, — a macież wy choć trochę groszowiny zależałej?

— Juści mieć — mam.

— A dużo?

— Skąd zaś, może będzie jakie sto papierków, a może nie.

— Tedy jeżeli oddacie dzieciom grunt, to sobie papierki zaszyjcie dobrze w sukmanę, przydadzą się wam na dziecinnej łasce.

Wincenty westchnął.

Robota była skończona. Kusztycki fartuch odpasał, włożył kapotę i rzekł:

— No, mieliśmy iść, to i chodźmy.

— A no chodźmy...

ROZDZIAŁ DRUGI.

Po powrocie od rejenta.

Przed karczmę Joela zajechały dwa wozy, dobrze znane w całej Suchowoli, bo jeden był Pypcia, a drugi jego zięcia. Na jednym siedział Wincenty z babą swoją i Florek, na drugim Nastka, Pypciowa córka, z mężem swoim Michałem, i Ignac, najstarszy syn Pypcia, z żoną.

Wesoło im widać było, bo śpiewali wszyscy, aż się echo rozlegało—a musieli jechać z paradą, bo z koni para buchała.

Przed karczmą, Florek, pierwszym wozem powożący, zatrzymał konia, a druga fura też stanęła.

— Nie zmarnieje psia noga, jak sobie tu postoi. Złaźta ojciec—i matka też niech złażą.

— Po co?

— Toć widzita, że karczma. Ej, Ignac! Nastka, Michałku—dalej ruszajcie się!

— Możeby było dość, — odezwała się Nastka nieśmiało, — niech będzie na tem skutek, co już było.

— Et, nie plotłabyś trzy po trzy,—odezwał się Michał,—jest piwo na kadzi, wypić nie zawadzi, a kiedyś dziś została stateczną gospodynią i siadłaś już na gruncie, jak kokosza na kurczętach, to się wesel...

— Wesel się!—krzyknął dobrze podcięty Florek, – wesel się z braćmi i ojcami, którzy jako że odpis rejentowski nam dali...

— A juści dałem, bo dałem, — rzekł wzdychając Pypeć.

— O! toć ono pisanie jeszcze nie obeschło dobrze, a już ojciec wymawiają: dałem ci dziadku grosz?—dałeś panie... dałem ci dziadku grosz? — dałeś panie...

— Nie szczekaj, Ignac, nie szczekaj... nie wymawiam ci ja nic.

— Bo i prawda, — odezwała się Nastka, — jak to powiadają: co z woza spadło, to przepadło i teraz już, jak powiadają: nie rychło Marychno po śmierci wędrować.

Zięć popchnął Pypcia ku drzwiom karczmy.

— Idźta ojciec,—rzekł,—co się macie przekomarzać, właśnie jak ona dziewka, co niby nie chce w taniec iść, a prosi Boga, żeby ją przez gwałt pociągnęli. Idźta, skoro was dzieci i familja proszą

— Idźta, idźta!

W karczmie była tylko młoda żydówka w peruce z żółtemi wstążkami.

— Brucha!—krzyknął Florek,—a gdzieżeś zapodziała swojego pokrakę? Gdzie Joel?

— Ja tobie proszę, Florek, ty nie rozpuść gębę tak szeroko!

— Ty! co to ty!? czy ja z tobą kozy pasał? Znaj mores i wiedz, że ja sobie gospodarz jestem na swoim gruncie.

— Oj, oj... ja też jestem gospodyni w swojej karczmie... co wy odemnie chcecie?

— Gorzałki chcemy i dość!

— Ny, ny—zaraz...

— Poszukaj Joela, bo tobie nie pilno widać.

— Co ma być pilno? Nie pali się.

— Też Joel dobrał sobie połowicę!—jej tak się chce chodzić, jak psu orać.

Joel usłyszał kłótnię i z drugiej izby wybiegł.

— Gaj weg, Bruche — rzekł do żony, — gaj weg! Nie gniewajcie sobie, panowie gospodarze... wszystko zaraz będzie. Moja żona słaba jest, ona delikatna, jej ciężko.

— Wszystkie wy delikatne!...

— Ny, ny. Siła dać!? ja myślę, że dużo. Chyba z garniec. Wy powinni być dziś wesołe, a nawet lepiej, niż na weselu.

— Albo co?

— Już ja wiem co. Wy zrobili dziś dobry interes. Do tej pory stary Pypeć pił na całej gospodarce, teraz wy będziecie pili każdy na swojem. To bardzo dobrze jest, na świecie musi być handel, musi być ruch, jak się należy. Stary Pypeć bardzo porządnie zrobił. Prawda, panie Florek?

— Juści prawda.

— Ja zawsze prawdę mówię. Kto ma płacić za dzisiejszą wódkę?

— Nie bój się, będzie zapłacone.

— Ja się nie boję, ja wiem, że będzie, tylko mam taką naturę, że lubię wiedzieć, komu mam

się przypomnieć. Ja wam co powiem: ja was mogę pogodzić.

— Nie kłócim się...

— Od wypadku, zróbcie lepiej zaraz zgodę, podług równości. Dostaliście po siedem działków, postawi każdy po siedem kwart.

— Dużo...

— Co to dużo!? poproście kogo do kompanji. Wam się widzi, że dużo, że trzy razy po siedem kwart to jest cała beczka!.. a to jest całe parade tylko siedem razy po trzy kwarty.

— Ano... niby tak wypada.

— Na moje sumienie, to sprawiedliwe porachowanie jest. No, macie tymczasem garniec... i pijcie na zdrowie.

— Niech Ignac zaczyna.

— Niech Michał.

— Aj waj, odezwał się Joel, — ja widzę, że wy jesteście trudne do początku. Sprawiedliwie, nie powinien zaczynać ani Ignac, ani Michał.

— A kto?

— Wiecie wy, skąd się szczupak psuje? On się psuje od głowy. Takim sposobem, powinien zaczynać ojciec.

— Juści, dobrze Joel gada!

— Joel nigdy źle nie gada... jak powie jedno słowo, to w niem przynajmniej ze trzy prawdy siedzi.

— Ciekawość! gdzież te prawdy!

— Pierwsza prawda: co ojciec jest głowa; druga prawda, że ta głowa już bez gruntu jest,

to jej się należy pociecha; a trzecia prawda: że głowa już nie będzie miała za co pić, więc potrzebuje dziś dobrze wypić.

— Ej, Joel,.. jakości ty, psia kość, bardzo dużo doszczekujesz—rzekł Wincenty.

— O doszczekiwaniu, to wy, panie Wincenty, pogadajcie z waszym psem, bo mnie się zdaje, to teraz będzie cały wasz inwentarz. Nie szkodzi, ja wam życzę, doczekajcie się z niego przychówku...

— Ej Judaszu, nie judź!

— Młody, a taki pyskaty, — odezwał się jakiś pijany chłop z kąta.—Mendel był dobry żyd i uszanował człowieka i zborgował...

— Ja też to potrafię, co Mendel; przynieście kożuch, albo ćwiartkę żyta, będziecie mieli borgowanie, ile wam podoba.

— Najgorzej mi jałówki czerwonej żal,—mówiła stara Pypciowa wpół z płaczem. Dobre bydlątko było... odchowane od cielęcia. Teraz podług podziału Ignac ma ją wziąć.

— Nie frasujcie się matulu,—rzekł Ignac, — bydlę z familji nie wychodzi, zawsze w naszym rodzie zostanie. Pijcie oto lepiej, a możebyście bułki?

— Mam ci ja tu i chleb.

— Pijcie, pijcie i nie frasujcie się nic.

— Co mam się frasować, albo to moje życie długie? Baba w latach krucha jest,—lada co—to już i po niej.

— Skrzypiącego drzewa najdłużej, matulu.

— Ojciec! -- zawołał Florek, — co ojciec tak osowieli? wesołości żadnej między nami niema!

— Patrzcie-no ludzie,—rzekł Joel, wskazując na okno. Patrzcie, idzie wielka osoba, Grzędzikowski idzie!

— Prawdziwie.

Grzędzikowski, dziad kościelny, silny chłop, w granatowej kapocie i rogatej czapce, o dużym nosie, pod którym, jako dwa krzaki jałowcu, sterczały okazałe wąsiska,—wszedł do karczmy, rzucił okiem po zgromadzonych i rzekł:

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki.

— Cóż to zaś na ten przykład, na zdarzenie,— zapytał—jako cała familja Pypciowa jest tu dzisiaj w zgromadzeniu i w przyjacielstwie?

— Z miasta wracamy od rejenta,—ojciec nam grunt odpisali.

— Ha! odpisali to odpisali, widać taka była Pypciowa, na ten przykład, wolna i nieprzymuszowa wola. Prawda Wincenty?

— Niby była...

— Bo to, na ten przykład, różne są wole na tym świecie: jedna taka, druga insza, a jeszcze trzecia bywa znowuż inaksza. Mogę wam to wszystko dokumentnie, na ten przykład, przetłomaczyć.

— Eh! co tam będziecie tłomaczyli, — zawołał Ignac, — macie oto półkwaterek, przepijcie do ojca, bo się ojciec skrzywili, jak środa na piątek, i taką mankoliją mają, że ani do nich przystępu.

Grzędzikowski wziął miarkę blaszaną i przystąpił do Pypcia.

— Wincenty!—zawołał,—Wincenty! słuchajcie-no dobrze i uważajcie sobie, na ten przykład. Nie tacy ludzie byli i dziedzictwo swoje między dziećmi podzielili, jak stoi na ten przykład, choćby na to mówiący, i w Piśmie. Noe, co za czasów świata zatopienia ze zwierzęty czystemi i na ten przykład nieczystemi, z gadziną i inszem robactwem w korabiu pływający, trzech synów miał— też się z nimi dzielił; a choć jeden gałgan był i z ojca, który na ten przykład, krzynkę sobie podpił, przekpiwanie czynił—dlatego i jemu droga zagrodzona nie była... też mógł sobie brać świata, ile chciał. Tedy i ty Wicusiu, przyjacielu, mankolji w sobie nie dopuszczaj — jeno pij, a potem układź się spać, jako na ten przykład, Noe.

— Sprawiedliwie Grzędzikowski powiadają i nabożnie, zawdy nabożnie!—rzekła z westchnieniem Pypciowa.

— Oj, oj, żebym ja tak zdrów nie był, jak to nabożne gadanie jest!—odezwał się Joel.

Grzędzikowski brwi zmarszczył i rzekł:

— No, już podobniej byłoby koniowi, na ten przykład, o wódce dowodzić, aniżeli tobie, mój panie Joelu, o nabożności.

— Tfy! Co to wy, panie Grzędzikowski, wzięliście nabożność w arendę? czy bez was to już nie wolno człowiekowi nabożnym być? Aj waj! jaki mi rabin!

— Nie trzeba tu żadnego porównania, rabin to rabin, a ja sobie, na ten przykład, ja; a gdyby zaś rabin wiedział, ile ty Joelku, na ten przykład, do wódki paskudztwa wszelakiego dosypujesz, toby ci też inaczej nie rzekł, tylko...

— No, co tylko? co to jest tylko!

— Tylko by ci rzekł: jako jesteś cygan pierwszej próby i kręciciel, który, że jeszcze na tym świecie chodzi, to tylko, na ten przykład, cud jakiś.

— Ja was proszę, panie Grzędzikowski, nie powiadajcie wy za dużo. Co za dużo, to nie zdrowo jest... ja wam mówię.

— Prawdę, kochanku, mówisz, co za dużo, to nie zdrowo; i według tego, na ten przykład, Joelku, nie przysypuj dużo wapna, bo naród poczciwy może się pochorować, a ty, na ten przykład, możesz, nie przymierzając, pójść do kozy.

— Panie Onufry!

— Nie, nie, nie pierwszyzna nam takiego widzieć! Był tu przed tobą Mendel, stateczny żyd, twojej Bruchy ojciec—on też różne, na ten przykład, różności do wódki dosypywał, ale ty, Joelku, za dużo...

— Co to jest? co to za gadanie jest?

— To widzisz, na ten przykład, trafiłeś na znawcę.

— Aj waj, taki znawca! Jak Onufry sobie upije, to Onufry myśli, że jest znawca; a Onufry wcale nie jest znawca, tylko Onufry wielki pijak jest!

— Cicho, ty niedowiarku!

— Ja nie wiem, kto tu niedowiarek? Czy ja, co powiadam, że wódka dobra jest—czy Onufry, co niechce temu wiary dać!?

Ignac do rozmowy się wmięszał.

— Panie Onufry! - zawołał,—dajcie mu spokój! Kto tam dojdzie co on sypie i siła czego sypie?.. Niech go marności ogarną! Oto lepiej ojca nam rozruszajcie, bo ojciec łeb zwiesili i tak siedzą markotni, jakby im, na to mówiący, najpiękniejsza krowa zdechła.

— Oj, zdechły, wszystkie zdechły! — jęknął Pypeć, — boć już ani gospodarstwa ja nie mam, ani żadnego inwentarza nie mam, ani chałupy nie mam, ani stodoły nie mam...

— Tak, — powtórzył Grzędzikowski, — dziś, Pypciu, nic nie macie, ani na ten przykład wołu, ani osła, ani służebnicy, ani żadnej rzeczy.

— Macie wódkę w garncu, — odezwał się Florek.

— A juści, tyle naszego; do was, panie Onufry!

— Ha no, kiedy tak, to na ten przykład, owszem. Nie dopuszczaj, mój Wincenty, do siebie smutku, bo stoi w piśmie, jako nie samym chlebem, na ten przykład, człowiek żyje.

— Ale...

— I znowu stoi, jako są, na ten przykład, ptaszkowie powietrzne, które jako nie siejące, ani orzące...

— Zawdy markotno.

— Już się stało... markotno, to prawda, ale przynajmniej ta pociecha, że macie, na ten przykład, dzieci postanowione.

— Dyć postanowione, jeno co Florek...

— Nie frasujcie się, tatulu, ja też sobie postanowienie duchem zrobię.

— Ożenisz się?

— A juści, czego mam czekać? Albo to mi nie czas?

— I pewnie,—wtrącił Grzędzikowski, — ożenisz się, to się i odmienisz, na ten przykład.

— Albo ja wam zły, co mi odmiany życzycie?

— Zły nie jesteś, mój Florciu, aleś zawdy szelma...

— O, bywają gorsze, choć i starsze, choć niby to i przy kościele służą.

— To ty, na ten przykład, do mnie z gębą wyjechałeś?

— Tak sobie, ni do was, ni nie do was; jeno musi to prawda, co powiadają ludzie, że jak w stół uderzyć, to się nożyce odezwą.

— A bardziej nogi stołowe.

— Ej, panie Onufry, bo możemy się powadzić!

— Wadzi się równy z równym, ale teraz taki czas, że jajko, na ten przykład, chce być mądrzejsze od kury.

Florek, że w gruncie prędki był i zawzięty, podniósł się i prosto ku Grzędzikowskiemu szedł. Pewnie byłaby z tego jaka zła przygoda, bo

i Grzędzikowski, choć stary, do bójki był prędki— gdy weszło kilku gospodarzy i zaczęła się rozmowa o czem innem. Radzono o serwitutach, za które dwór obiecywał po dwa morgi lasu. Jedni byli za zgodą, drudzy się sprzeciwiali,—jak zwykle.

— Ja nie chcę lasu—odezwał się pijany Pypeć.

— Nie chcecie? — wtrącił się Joel, — ny, ny, bardzo się kto martwi waszemu niechceniem!

— Nie chcę i tyle! — powtórzył Wincenty, uderzając pięścią w stół.

Florek do Pypcia przystąpił.

— A ojciec,—rzekł,—jakie mają prawo do naszego lasu? Co ojcu chcieć, albo nie chcieć? Skoro ja zechcę, Ignac i Nastka z Michałem, to sprzedamy, jako jesteśmy gospodarze, a ojcu do tego zasie.

— Tobie zasie!

— Ojcu zasie, bo grunt nie ojcowy, tylko nasz. Mamy odpis rejentowski na to i nie ojcowa głowa naszym majątkiem będzie rządziła, tylko nasza.

— Prawdziwie Florek mówi,—zawołał Ignac, —żadne kręcicielstwo nie pomoże: co nasze, to nasze—a ojcowe to ojcowe.

— Ja wam lasu nie dawałem!

— Ale... nie dawałem! toć las u ojca w kieszeni nie jest, jeno idzie za gospodarstwem. Serwitut przy gruncie, wolno nam pomieniać na las wolno nie pomieniać, to już według naszego po-

miarkowania, jako jesteśmy dziedzice w swojem prawie!

— O dzieci! dzieci! żeby was... zaraz oto, jenom się odezwał, powyjeżdżaliście het z gębami, bez żadnego pomiarkowania. Toć przecie godziłoby się, na to mówiący, ojcowskiego poradzenia posłuchać.

— A nie bronimy ojcu, — rzekła Nastka, — niech ojciec radzą; nie mają teraz ojciec nic do roboty, niech siedzą sobie w ciepłości i radzą — a zaś nasza wola będzie słuchać, albo nie słuchać...

— Taka ty, jak i twoi bracia.

— Niech ojciec nie dogadują, — odezwał się Florek,—niech ojciec lepiej piją, skoro mają co— a do naszych interesów niech się nie wtrącają.

— Najgorszy interes jest—odezwał się Joel,— jak się familja kłóci, to już największa zawziętość. Dajcie pokój Wincenty, zrobiliście podział dobrowolnie... Kto wam kazał?

— Zrobiłem, bom był głupi.

— Aj, aj, bardzo starą historję opowiadacie, mój Wincenty. Ja nie słyszałem jeszcze, żeby kto powiedział sam na siebie, że jest głupi. Każdy tylko był głupi. Pijak, jak wytrzeźwieje, powiada, że był głupi, kiedy pił; — ten, co zgubi pieniądze, mówi, że był głupi, kiedy nie pilnował. Wincenty powiada, że był głupi, jak robił zapis. Ny, każdy głupi był!.. ale jak był głupi, to mu się zdawało, że jest mądry. Aj waj! jaki mądry!

— Tedy prawda, — odezwał się Grzędzikowski, — nawet, na ten przykład, oto izraelitowie, niby starozakonne żydy na puszczy były głupie,



Pypeć wyciągnął się nawznak na ziemi, ręce podłożył pod głowę i usnął.

jako że manny nie chcieli jeść...

— Macie recht, — panie Onufry, bardzo sprawiedliwie powiadacie. Nie chcieli manny jeść i by-

li głupi, teraz muszą cebulę jeść i są mądre. Co pomoże żałować? Już przepadło...

Późno już było, gospodarze zaczęli rozchodzić się do domów, dzieci Pypciowe też poszły spać, tylko sam Pypeć nie spieszył do chałupy.

Stanął przed karczmą, popatrzył na gwiazdy, ziewnął kilkakrotnie, wstrząsnął się, jakby go dreszcz przejmował, i rzekł:

— Do chałupy nie pójdę... nie! Nijako w cudzej chałupie spać, a może jeszcze i przykre słowo usłyszeć od dzieci... Nie! Bóg miłosierny dał ciepło, układę się tedy gdzie stoję — a po dniu może mi Kusztycki jaką radę dobrą doradzi...

Rzekłszy to, wyciągnął się nawznak na ziemi, ręce pod głowę podłożył i usnął.

ROZDZIAŁ TRZECI.

W pół roku potem.

Czas mijał, ludzie już koło żniwa się krzątali. W chacie Pypcia gospodarowali na dobre Ignac i Florek. Stary, nie mogąc od samego początku z dziećmi do ładu dojść, mało co w domu siedział, włóczył się po wsi, a najwięcej

przesiadywał w karczmie u Joela. I teraz oto, przed samym wieczorem, prosto z karczmy przyszedł, a raczej przywłókł się do kuźni Kusztyckiego. Nie osobliwie trzymał się na nogach, a językiem ledwie obracał. Kusztycki pilną miał robotę, kuł zawzięcie, a co chwila krzyczał na chłopca, który przy miechu stał:

— Równo, gamoniu! nie szarp, węgli niepsuj, bo ich na drodze nie znajdziesz!

— Niech będzie pochwalony,—rzekł Pypeć, stając na progu, — jak się macie, panie Kusztycki?

— Na wieki...

— Przyszedłem oto do was... psia wełna... jako że przyjaciela lepszego, psia wełna, który jeno na świecie jest...

— Gdzieżeście bywali?

— Joel, psia wełna, mnie trzymał do samego wieczora.

— Widać to.. napiliście się krzynkę.

— To i cóż!?—i zaczął śpiewać ochrypłym głosem:

„Nikogo się nie boję,
Bom się upił za swoje,
Mam sukmanę w zastawie,
Nocleg w karczmie na ławie!"

— Ej, Wincenty,—odezwał się Kusztycki, — po prawdzie wam powiem, szanujcie się wy lepiej... już i tak po wsi nie pięknie o was gadają.

— To i co? niech sobie gadają. Wolno psu i na figurę szczekać, ale ukąsić zasie, a jakby mi kto przestęp drogi zrobił, to go, psia wełna...

— Dajcie pokój. Toć ja wam pić nie bronię i sam czasem wypiję, tylko — jak powiadają ludzie—co za dużo, to niezdrowo.

— Sprawiedliwie powiadacie, sprawiedliwie. Nie zdrowo, psia wełna, bo niezdrowo... we środku coś mnie piecze, niby ogień, a we łbie huczy jakby, psia noga, cztery kute wozy jechały... a chodzi za mną...

— Cóż to za wami chodzi?

— Dwóch chodzi, zawdy we dwóch kompanję trzymają, psia wełna.

— Aleć kto?

— Albo ja wiem.

— Toć musieliście ich widzieć?

— Gdzie żaś... nie taki, on psia wełna, żeby go człowiek oczami ujrzał, jeno dogaduje, dogaduje w same ucho: jeden w jedno, drugi zaraz w drugie.

Kusztycki rzucił młot na ziemię i usiadł na kowadle.

— Ciekawość,—spytał,—co też oni wam powiadają?

— A dyć. Jeden chodzi, psia wełna, powiada: Wincenty, byłeś se gospodarzem jak ludzie, nie świeciłeś po wsi ślepiami,—powiada, to i nie świeć. Weź kija, a dobrego, dzieci spierz, psia wełna, rzetelnie, niech ci twoją ordynarję oddadzą; na komorne gdzie pójdź, póki mogący rób,

nie łaź po lekkości, nie bądź, psia wełna, jako ten badyl w polu, z którego ni człowiekowi pociechy, ni bydlęciu pożytku. Nie pij co nie potrzeba... A czasem to nawet grzeczny jest, psia wełna, prosi i powiada: Wicuś, toć ty byłeś z dziada pradziada włościanin, gospodarskie dziecko, powiada, sprawiedliwy chłop... jak się patrzy... pamiętaj to sobie!

— To on dobrze powiada,—rzekł Kusztycki,—bardzo dobrze.

— Juści, ale i drugi też ma swoje pomiarkowanie i swój rozum. Jak tylko tamten skończy, on zara zaczyna, a czasem to nawet psia noga, i czekać nie chce, jeno się z tamtym przekomarza. Aha! powiada, rób, pracuj, skoroś głupi. Toć, powiada i wół pracuje, a przecie go żydy zarzną na mięso, toć i koń pracuje--a psy go zjedzą na błoniu. Małoś się to sochy nadźwigał, małoś trawy nakosił; albo oto zboża, psia wełna, urznął! Póki byłeś, powiada, gospodarz, to nie dziw — ale teraz lekki człowiek jesteś, na co ci? Idź do Joela, Joel gorzałkę ma, Joel obwarzanki ma, Joel śledzie ma, Joel szczery żyd jest. Idź, powiada, Wicusiu, używaj sobie, jak pies w studni.

— O! szczery ci on, szczery,—rzekł z westchnieniem Kusztycki.

— Po sprawiedliwości, mój panie Kusztycki, mogę to powiedzieć, że naprawdę szczery. On do mnie, psia wełna, tak wczoraj pięknie przemówił, żem mało nie płakał. Tak, psia wełna, przemówił!

— A cóż on wam takiego powiedział?

— A juści. Pięknie powiedział, nie jak starozakonny żyd, ale lepiej niż syn rodzony.

— No, no, gadajcież.

— A powiada: Wincenty! wam nie pasuje, powiada, psia wełna, żebyście się mieli poniewierać. Wam, powiada, ja dam spanie, czy w karczmie, czy w stajni, czy gdzie, powiada, sami sobie upodobacie—i będziecie se, powiada psia noga, żyli jak pan, w najlepszej wygodności i honorze, że wam, powiada, i wody nikt nie zamąci, i marnego słowa nie powie — i wódki będziecie mieli, powiada, ile zechcecie. Szczery żyd, sprawiedliwie szczery!

— I co więcej?

— Szczery, o! sprawiedliwie szczery! Wy, powiada, Wincenty, będziecie sobie żyli jak pan w wygodności, w ciepłości, w spokoju... cała karczma, powiada, wasza. Czy zechcecie się położyć w tym rogu, czy w tamtym, czy choćby i na stole, przeszkody żadnej nie znajdziecie, nikt wam nie zabroni.

— A cóż wy jemu macie płacić za tę łaskę?

— Nic, wcale nic — jednego grosika nie żąda i jeszcze oto, psia wełna, wódki obiecuje.

— Dziw doprawdy—dziw wielki!

— Tylko, powiada, czasem, nawet nie codzień, powiada, Wincenty urąbie mi trochę drzewa, albo, na to mówiący, konia Wincenty napoi...

— Aha! albo w piecu napali, albo w szabas będzie Wincenty świeczki gasił. Na dobry ko-

niec wam przyszło. Tfy z taką robotą! Toć wstyd na gospodarza, żeby się już tak zmizerował i na poniewierkę poszedł. Co wam za niewola?

— A... kiedy Joel o piecu i o świeczkach nie wspominał.

— Jak skoro on was tylko do swojej służby zapędzi, to musicie robić wszystko, co on wam każe. Oj, Wincenty! Wincenty!... co wam też w głowie?! Pozbyliście się gospodarstwa, ale przecież macie jakieś opatrzenie u dzieci.

— A juści... obietnicę mam, nawet i w akcie stoi.

— Skoro stoi, to nie darujcie swego, duście, podawajcie do sądu.

— Nie bardzo ono jakoś pasuje, żeby się z dziećmi oto rodzonemi prawować.

— Tak, a im to pasuje ojca krzywdzić?

— Wola ich...

— A posłuchaliście też mnie, — pytał Kusztycki — jaką wam radę dawałem jeszcze przed zapisem?

— Niby jaką radę?

— Żebyście sobie zaszyli w sukmanę trochę groszowiny od wszelkiego wypadku.

— Zaszyłem, a jakże mój kochany panie Kusztycki, zaszyłem rzetelnie, na moc, co najgrubszą nicią, jaka jeno była w chałupie.

— No — toście przynajmniej dobrze zrobili, to jedno chociaż.

— Kiedy, oto, psia wełna, jużem dwa razy odpruwał.

— I wydaliście wszystko... utopiliście het u kochanego Joela? Co? przyznajcie się, toć wam przecie głowy nie urwę.

— Jeszcze mam cościć ze sześć czerwonych papierków.

— Oj, Wincenty! Wincenty... I z takiemi pieniędzmi, z ordynarją, co wam się od dzieci należy, chcecie do żyda w służbę iść, w karczmie pod ławą sypiać, w piecach palić. Tfy! czy was licho jakie opętało, czy was z rozumu kto obrał! I grzech, i wstyd, i śmiech. Toć popatrzcie oto na starego Piotra. Nigdy żadnego gospodarstwa nie miał, a przecie żył i żyje poczciwie ze swej pracy i oto jeszcze sierotkę wziął... a wy!

— Eh, co mi tam Kusztycki będzie Piotrem oczy wykłówał. Piotr to Piotr – a ja to ja. On psia wełna, przybłęda, nie wiadomo zkąd, a ja suchowolski gospodarz, prawowity, rodzony, z maleńkości tu jestem, od ojców i dziadów suchowolski.

— I co z tego, kiedy wam na taki oto koniec przychodzi.

— Mój Kusztycki, proszę was, pókim dobry, psia wełna... nie dogadujcie, bo jak na mnie przyjdzie mankolja, to możecie dostać po łbie... jak nic!

— Ha! ha! Nie probujcie wy się ze mną na moc, bo jakbym was pchnął tylko, tobyście się zwalili, jak kłoda.

— Sprobujcie!

— Ej Wincenty! zwady ja z wami nie szukam; po dobroci do was przemawiam i po przy-

jaźni. Wolna wola słuchać, wolna nie słuchać; a ja jeszcze raz mówię, że zamiast do Joela na służbę iść, lepiej sakwy sobie uszyjcie i żółwiową skorupę do garści wziąwszy — pod kościołem usiądźcie, chleba prosić. Będziecie przynajmniej nabożne pieśni śpiewali i pacierze mówili. Zawsze to już porządniej, niż w karczmie pod ławą mieszkać. Powiadacie, że coś chodzi za wami, dogaduje, judzi,—to się przeżegnajcie, albo do kościoła pójdźcie na mszę świętą, zmówcie pacierz do Przemienienia Pańskiego, żeby się wam odmiana jaka uczyniła.

Pypeć westchnął.

— Pięknie, pięknie Kusztycki powiada i nabożnie, jak w kościele.

— Właśnie, że powiadam tak, jak według serca mego szczerości, a z przyjacielstwa dla was, należało powiedzieć! Odpędźcie wy, Wincenty, złe pomyślenia od siebie i posłuchajcie dobrego słowa.

— Hm... jabym i posłuchał... ale nijako mi i nie bardzo pasuje

— Niby według czego?

— A choćby oto, jak powiadacie, do jakiego gospodarza na komorne pójść. Jakżeż ja, skoro jeszczem nie dawno sobie oto, psia wełna, taki sam gospodarz był jak i on... a teraz mam u niego w komornem siedzieć?

— No to co? Byliście gospodarz, ale swojej fortuny nie zmarnowaliście, jeno oddali dzieciom. Oddaliście, bo taka była wasza wola.

— Zawdy to nijako człowiekowi...

— Skoro wam się tak nie podoba, to jeszcze oto możecie, choćby gdzie i we dworze, obowiązku poszukać!

— A jušci! żebym ja, psia wełna, na stare lata miał słuchać ekonomów i karbowych! Nie, mój panie Kusztycki, tego nie zrobię.

— To pójdźcie na komorne do drugiej wsi, kiedy w Suchowoli wam markotno.

Pypeć nic nie odpowiedział na to. Zwiesił głowę i milczał. Nagle, jak gdyby przypomniał coś sobie; podniósł się i rzekł:

— No, kochany panie Kusztycki, bądźcie zdrowi. Mnie pilno.

— Dokądże taki interes?

— Niedaleko.

— Ale przecie?

— Joelowi chciałem parę słów rzec... o jednym interesie, co dla mnie wiele znaczący jest.

— A toć przecie dopiero od Joela wracacie!

— Wracam ja, psia wełna, bo wracam, ale znów się do niego powracam, bo mam z nim dużo do gadania.

— Ciekawość!

— On powiedział, że mi taki sposób dobry doradzi, że dzieci mi het ordynarją oddadzą i wszystko, co się należy oddadzą; że nie będę potrzebował, psia wełna, na ten przykład, nawet gęby do nich otworzyć, jeno mi wszystko będzie przyniesione do ręki. Powiedział, że takiego mi adwokata sprowadzi, takiego mechanika, co jak

jedno słowo powie, to cały sąd słucha i nietylko, psia wełna, nasz chłopski sąd suchowolski, ale i największy sąd, taki co choćby w samej Warszawie.

— Przecie mówiliście dopiero co, że wam, jako ojcu, nie pasuje z rodzonemi dziećmi po sądach się włóczyć.

— Mnie nie pasuje — ale adwokatowi, co innego. On od tego jest, żeby po sądach chodził.

— Cóż to za adwokat?

— Nie widziałem ja go na swoje oczy, Joel powiada, że adwokat, to i adwokat... No bądźcie zdrowi, ja idę.

— Et, lepiej do jutra zostawcie. Od rana będziecie mieli spokojniejszą głowę, to będziecie mogli wszystko jakoś lepiej rozkalkulować.

— Kiedy właśnie adwokat dziś ma tu być. Mówił Joel, że tylko patrzeć jak przyjdzie.

— Umyślnie, według waszego interesu?

— Nie. Mnie się widzi, że on według owego lasu, co za serwitut mają gospodarze dostać... i co mają go zaraz Mendlowi sprzedać. Według tego oni sobie adwokata sprowadzają.

— Mogliby przecie i sami.

— Ale, tak wam się widzi, mój panie Kusztycki, a zawsze co adwokacka głowa, to nie chłopska!...

— Jak tam sobie uważacie wreszcie, mój

Wincenty, według woli waszej i ochoty. Ja wam tylko powiem, że ani adwokat wam nie potrzebny, ani Joel. Lasu do sprzedania nie macie, a posiedzialność możecie sobie znaleźć wszędzie, gdziebyście sobie upodobali, nie koniecznie w tem marnem karczmisku. Wreszcie róbcie sobie, jak wam się podoba...

— I pewnie, odpowiedział Pypeć — tak zrobię, jak będę uważał... a wy, panie Kusztycki, choć niby powiadacie, że jesteście dla mnie taki życzliwy — po prawdzie, psia wełna, jeno mnie poniewieracie, jak nieprzymierzając, burą sukę.

— Ale...

— Et! dalibyście, psia wełna, pokój! Rozum ja swój mam, cudzych mi nie potrzeba. Przepiję to swoje, a czy będę spał tu, czy tam, niech was o to głowa nie boli... do waszej kuźni spać nie przyjdę.

— Nie wypędziłbym.

— Owa! jaki to z Kusztyckiego pan! nie broniłby, powiada.., ale ciekawość, kto by się chciał ukłaść w takiem miejscu?

To mówiąc, Pypeć wyszedł na drogę i nie bardzo pewnym krokiem podążył w stronę karczmy...

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Przed kościołem.

Suchowolski kościołek stał na wzgórzu, otoczony wieńcem starych lip. Zdaleka ścian widać nie było, tylko zieleń gęstą, ponad którą wystrzelał spadzisty dach czerwony i wieżyczka lekka, wysmukła, z kulą złocistą na wierzchu, która służyła za podstawę również pozłacanemu krzyżowi.

Kościołek murowany był, a zbudowano go, jak księgi świadczą, dawno, bardzo dawno. Pod sklepieniami dolnemi spoczywają wielkie trumny dębowe, a w nich zmurszałe, w proch rozsypujące się kości.

To fundatorowie kościoła snem wiekuistym uśpieni.

W zakrystji kilka portretów wisi, w ramach złoconych niegdyś, teraz poczerniałych zupełnie. To fundatorów portrety.

Ku wieczorowi się miało; słońce chyliło się na zachód czerwone, i przez okna kościelne rzucało snopy blasków na wielki ołtarz, na figury świętych, na złocone gzemsy filarów. Ślizgały się te blaski po ramach obrazów, po lichtarzach, po świeczniku kryształowym w środkowej nawie wiszącym, kładły się na posadzce kamiennej wydeptanej, wyklęczanej przez ludzi.

Przed plebanją na ganku, obrosłym dzikiem winem, którego gęste liście czerwieniały już, jak zwykle na jesieni, siedział, odmawiając pacierze, proboszcz suchowolski. Był to staruszek suchy, zawiędły, nie dużego wzrostu. Długie włosy białe spadały mu prawie na ramiona a z pod brwi groźnie najeżonych, krzaczastych, patrzyły oczy niebieskie, takie dziwnie dobre i łagodne, jakby wyglądająca przez nie dusza cały świat umiłowała i objąć go pragnęła.

Niepokaźny człowieczek, ale duch wielki — i prawdziwie wielki, bo kilka tysięcy dusz swojej parafii w uczciwości i bojaźni Bożej utrzymywał nauką i łagodną wyrozumiałością, przykładem dobrym. Ubogiego wsparł, błądzącego na drogę dobrą naprowadził, smutnego pocieszył— i chluby z tego żadnej nie szukał, nie wynosił się nad innych, nie pysznił...

Owszem, nieraz czy z małym, czy ze starym pogwarzył, pożartował, pośmiał się i nawet wesołości ani tańców za złe nie miał, byle tylko były po trzeźwemu, po ludzku.

Nie długo jednak ludzie dali siedzieć proboszczowi w spokojności. To ten, to ów przyszedł. Jednemu trzeba było rady, drugiemu pomocy, a na plebanji ludzie to zawsze znajdowali. Wreszcie gdy się już noc zrobiła, przyjechał chłop z trzeciej wsi, prostym wozem w drabinach, do chorego prosić. Ksiądz ubrał się do drogi, poszedł do kościoła, wziął Wjatyk i natychmiast pojechał.



Przed plebanją na ganku, obrosłym dzikiem winem, siedział odmawiając pacierze proboszcz suchowolski.

Grzędzikowski zamykając kościół po odjeździe księdza, niezadowolony, mruczał do siebie:

— Pilno im, na ten przykład, po nocy! Mało mieli dnia, żeby konie przysłać. Źle, na ten przykład, kanonik robi, że lada kogo słucha. Niedługo, na ten przykład, będą go z łóżka wyciągali!

Zamiast pójść prosto do domu, wyjrzał dziad za ogrodzenie kościelne i popatrzył na drogę, co ku wsi i ku karczmie prowadziła.

— Świeci się u Joela — mówił spluwając — juści że się świeci. Bo i nie co... taki spekulant zbiera pieniądze i w dzień i w nocy. Do niego na ten przykład, jak do młyna, każdy jedzie, każdy idzie; a kto przyjdzie, albo przyjedzie, zawdy mało wiele groszowiny zostawi.

Rozmawiając w ten sposób, z oczyma utkwionemi w karczmę, w której się jasno świeciło, nie zauważył dziadowina, że ktoś nadchodzi. Dopiero silne trącenie w łokieć wyrwało go z zadumy. Obejrzał się.

— Ah! to wy, Wincenty — zawołał — tak podeszliście, na ten przykład, cicho, nawet „pochwalony“ nie rzekłszy.

Pypeć wziął się pod boki i ochrypłym głosem zaśpiewał:

„Niechaj będzie pochwalony!
„Czapka biała, wierzch zielony...

— Tfy! — zawołał spluwając dziad — nad grobem oto stoicie, na ten przykład i takie śpiewa-

nie was się trzyma! Przeżegnajcie się Wincenty, co z wami się dzieje?

— Widzisz go, krzyknął Pypeć, widzisz go, jaki mądry! Co ty, psia wełna, myślisz, dziadu jeden!? On mi będzie kazanie prawił! Czy ty kanonik?! Co! Twoje prawo, psia wełna, kościół zamiatać, a nie gospodarzy statecznych rozumu uczyć.

— Idźcie, Wincenty, w swoją drogę, idźcie sobie, na ten przykład, spokojnie, nie zaczepiajcie ludzi.

— Właśnie chciałem cię zaczepić po dobroci, żebyś ze mną, psia wełna, do karczmy poszedł, ale że ty dziadowskie pokolenie... zawdy chciałbyś wyżej pluć, niż masz gębę...

— Gęba, na ten przykład, na dwa użytki jest... do gadania, na ten przykład, swoją drogą, a zaś do picia swoją drogą; a jak insza gęba powie nieprzystojne słowo, to ją pasuje zatkać, a bardziej jeszcze przy kościele...

— Przy kościele?—zapytał zdumiony Pypeć.

— A to ślepi jesteście! nie widzicie, że oto o dwadzieścia kroków kościół—i czapkę, na ten przykład, na łbie macie, jak nieprzymierzając... żyd!

Pypeć westchnął.

— Kościół!—mówił, jakby przebudzony ze snu, kościół... A juści prawda.., stoi tu kościół. Boże miłosierny! Ślepy ja? czy co?

Zdjął czapkę, ukląkł i z całej mocy bił się w piersi.

— Jezu Nazareński! przebacz mnie grzesznemu, jako żem domu Twego nie widział.

— Bo i pewnie mruknął dziad, teraz was i w niedzielę na sumie nie uświeci.

— Będę chodził, bełkotał pijany, będę chodził. Nie powiedzą święci Pańscy i aniołowie w niebie, że Pypeć Wincenty poganin, jeno że pijak, psia wełna, bo pijak... niema co gadać.

— Hm! mruknął Grzędzikowski. Juścić pijaństwo to grzech śmiertelny; ale że Pan Jezus, na ten przykład, łotrowi na krzyżu odpuścił, to i wam odpuści.

— Sprawiedliwie przemawiacie, Onufry, bardzo sprawiedliwie. Podnieście, pomóżcie mi wstać, bo łamane bóle w nogi powłaziły, i oto, psia wełna, o swojej mocy nie wstanę.

— A juści wiem ci ja, że, na ten przykład, złe po świecie chodzi i przygoda może się choćby i na równej drodze trafić. Tedy, choć na ten przykład, dyfamowaliście mnie dziadowskiem pokoleniem, przecie was poratuję i podniosę. Ale żeście ciężkie to ciężkie, jak, na ten przykład, kloc!

To rzekłszy, Grzędzikowski dźwignął chłopa i pomógł mu wstać.

— Oj, — rzekł Pypeć, — ciężki ja... to prawda... ale nie w sobie. Tak oto nibyć ja taki jako i insi ludzie, jeno we łbie ciężar mi siedzi, psia wełna, taki, że za dobry kamień zaważy. Siedzi, gniecie, psia noga, że wytrzymania niema.

— I boli?

— Boli, boli, mój Onuferku kochający, i jak

boli! A dudni, a huczy, jako we czterech młynach przed gody. Jeszcze jak oto półkwaterek gorzaliny wypiję, to mi na jakie dwa pacierze ulży, a potem znowu i znowu... żebym się oto nieraz, psia wełna, we staw, albo w rzekę, albo w jezioro wpakował. Raz kozie śmierć!

— Głupiście wy, mój Wincenty, i właśnie pleciecie, na ten przykład, trzy po trzy, co się jedno drugiego nie trzyma. W jezioro, albo w rzekę! a potem na ten przykład, co?

— Boże miłosierny! — jęczał dalej chłop — ni ja chałupy, psia wełna, ni ja gruntu, ni bydlęcia, ni psa! Teraz właśnie gospodarze o las targ prowadzą i będą mieli po cztery morgi, a ja co? Ja nic. Toć oto i sukmanina mi się obdarła, żeby się jej nawet, psia wełna, rak nie czepił, i buty pić wołają, tak się porozdziawiały szkaradnie, i obleczenie na mnie czarne jak święta ziemia i kaszkiet, żeby go nawet wrona na gniazdo nie chciała. Wszystko, psia wełna zmarniało, niema nic, jakoby po spaleniu... a we łbie dudni a dudni...

Usiadł przy drodze, nogi w rów spuścił, czapkę z głowy zdjął i umilkł.

Nocny wietrzyk chłodził mu czoło, poruszał włosy długie, potargane, niestrzyżone oddawna.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Śmierć Pypciowej.

Cicho toczy się woda w onej rzeczułce, co na skraju Suchowoli pod samą prawie wsią przepływa i, przez łąki się wijąc, gdzieś w oddali, w ścianie ciemnego boru ginie. Cicho płyną wody rzeczułki i nie całują już kwiatków nadbrzeżnych, bo ich niema; tylko sitowie pożółkłe trącają, zeschłe, poczerniałe liście na falach swoich unoszą.

Jesień już pożna.

Bydlę nie ma co uszczypnąć na pastwisku, konia na łące nie ujrzy, tylko niewybredne chłopskie owieczki, kołtuniaste i kudłate, mogą jeszcze coś znaleźć na ugorach.

Pusto dokoła i cicho. Już nawet i babie lato dawno z wiatrami uleciało, ani bociana, ani jaskółki, ani ptaszków śpiewających nie widać. Pusto, głucho... wszystko odleciało gdzieś, uciekło, za dziesiąte góry, za siódme morza, tam gdzie lepiej, cieplej, weselej...

Wróble tylko i wrony tuliły się koło zabudowań, a w powietrzu ważyły się chyżolotne jastrzębie, upatrując kuropatw, lub choćby tylko marnej myszy, na ciężkie czasy...

W polu cisza wielka była, bo się już ludzie oborali, obsiali i robota wszelka ustała, tylko

w stodołach rozlegał się łoskot cepów, młócono na gwałt—bo żydzi za pszenicą a żytem jak oparzeni latali, a o owies domagali się tak, jakby lada dzień wielkie wojska nadejść miały.

W stodołach rozlegał się łoskot cepów, ale w kuźni u Kusztyckiego łoskot był większy jeszcze. Od rana do nocy tłukły ciężkie młoty w kowadła, a z rozpalonego żelaza iskry niby z ognistych pieców leciały.

Jak Suchowola Suchowolą, nigdy jeszcze tyle roboty w kuźni nie było.

Kusztycki obstalunek duży do sąsiedniego młyna dostał i ogromne pieniądze zbijał.

— No, panie majster — mówił do niego Łomignat Maciej, który siekierę nastalić przyszedł— jak skoro teraz nie wyleziecie z żydowskich pazurów, to już chyba nie wyleziecie nigdy.

— Ha, może przy pomocy Bożej wylezę — odrzekł kowal, nie odrywając się wcale od roboty, bo już taką naturę miał majsterską, że jak co zaczął, to z ręki nie wypuścił, póki nie skończył.

Łomignat chciał znowu coś powiedzieć, lecz w tejże chwili rozległy się poważne dźwięki dzwonu.

— Co to? — zapytał kowal—na co dzwonią?

— Nie wiem — toć nie święto, i nie na południe. Chyba kto umarł.

— Nie było słychać, żeby kto chory był w Suchowoli.

— Może z innej wsi.

– Może. Wieczny odpoczynek racz dać Panie jemu, czy jej. Mrą teraz ludzie na urząd.

— Prawda, że jakoś mrą... W Biedrzanach w zeszłym tygodniu chłop umarł. Stary już był, to prawda, sam nie pamiętał, ile miał lat... ale trzymał się jeszcze dobrze.

Joel leci ze wsi — rzekł Kusztycki, spoglądając na drogę.—Spytamy go, on pewnikiem wie, co się stało.

— Joel! Hej Joel! — zawołał Łomignat — niech-no Joel tu przyjdzie.

— Po co?

— A no, ze wsi idziecie, coś się tam stało podobno.

— Co się miało stać? -- odezwał się Joel niechętnie.

— Komu to dzwonią?

— Ja się na tem nie znam. Dzwonią to dzwonią. Czy ja się was pytam, na co u nas trąbią w bóżnicy? To nie wasz interes, a tamto nie mój interes. Niema sobie czem głowy zawracać!

– Jakości Joel nie bardzo dziś rozmowny— rzekł Kusztycki — musiała go zła mucha ukąsić.

— Niech moich wrogów wąż ukąsi — odpowiedział Joel.—Ja nie mogę być rozmowny, bo pytacie mnie o takie interesa, co ja się na nich nie rozumiem. Idźcie do starego Grzędzikowskiego, niech on wam powie.

— Et, Joel nie rozumie, o co my pytamy. Zdawało nam się, że ktoś umarł we wsi i myśleliśmy, że Joel wie kto.

— Ny—wiem.

— Któż?

— Oj waj, kto miał umrzeć? Całkiem nie wielka osoba. Dziura w niebie nie zrobi się od tego.

— Ale kto?

— Ny kto? Stara Pypciowa sobie umarła.

— Toć wczoraj ją widziałem na własne oczy—rzekł Łomignat—szła przez wieś!

— Co w tem dziwnego!? Póki żyła, to szła o swojej mocy. To bardzo prosty interes jest.

— Chyba nagle umarła.

— Albo ja wiem? Co wy mnie pytacie? Czy wy sędzia? Ja nie rozumiem. Skąd ja mam wiedzieć, czy ona umarła nagle, czy nie nagle? Ja pilnuję karczmy, pilnuję swoich interesów, ale nie starych bab. Co mi do tego?

— O! nie wolno się pytać, czy co? Musi Joel boi się czegoś.

— Tfy! co wy gadacie, kogo ja potrzebuję się bać? Wcale nikogo. Czy stara Pypciowa była moja żona, czy siostra? Umarła, to umarła, mnie nawet nie potrzeba o tem wiedzieć. Ja mam dosyć na głowie bez Pypciowej; ja mam jednego Pypcia dosyć...

— O, pewnie — rzekł Kusztycki — jak Joel wyciągnął z chłopa co tylko było można wyciągnąć, to teraz Joelowi starego Pypcia dosyć. Prawda? Niema już Pypeć za co pić, to dla was nic nie wart.

— On nigdy nie był dla mnie co wart!.. Nie przepił tak dużo, jak myślicie, bo nie miał co

przepić, a choćby on nie przepił, to przepije drugi, dziesiąty. Czy wy myślicie, że ja patrzę na osobę! wcale nie; ja tylko patrzę na pieniądze. Nawet powiem wam prawdę, że jak tylko czasem przez miłosierdzie na osobę spojrzę, to już mam duże straty.

— Straty! — zawołał Kusztycki — a to ciekawość naprawdę, na czem wy możecie mieć straty? Cały świat traci, a szynkarz zawsze zarabia. Do niego każdy przyjdzie.

— Oj, oj, każdy! co to za gadanie każdy! Żeby wszyscy do karczmy przychodzili, wszyscy pili, no, to jeszcze byłoby pół biedy, ale tak, cały interes śmiechu wart, nie opłaci się siedzieć.

— To dlaczego Joel siedzi?

— Siedzę, bo chociaż kawałek dachu nad głową jest, a z ogrodu trochę kartofli dla dzieci.

— Ho! ho! a Pypeć dobrze u was ze sto rubli przepił w ostatnim czasie.

— Dajcie mi pokój z waszym Pypciem! ja mu już tydzień czasu kredytuję, a skoro chcę od niego roboty, to nie mam nic! Jemu się wcale nie chce robić, onby tylko pił i pił, a jak się już dobrze napije, toby leżał i spał. Ja nie mam żadnej pociechy z niego. To cały gałgan jest!

— Widzicie, teraz to gałgan, a jak miał za co pić, to nie był gałgan.

— Niech go djabli wezmą—rzekł Joel spluwając.

— Słuchajcie-no, panie Joel — odezwał się Łomignat — ta kobieta z głowy mi wyjść nie

może, toć ją wczoraj na własne oczy widziałem chodzącą.

— Ny — ja was dzisiaj chodzącego widzę, a jutro... kto może zaręczyć, co będzie jutro!

— W mocy Boga wszystko, ale zawszeć mi to bardzo dziwno...

— Skoro wam dziwno, to idźcie na wieś, pytajcie ludzi, dowiadujcie się... Kto wam przeszkadza? Tylko mnie nie zawracajcie tem głowy. Dajcie mi pokój. Bądźcie zdrowi — ja idę do domu.

Po odejściu Joela, Kusztycki na Łomignata spojrzał i rzekł:

— Juści wy macie rację, Macieju, ta kobieta chyba swoją śmiercią nie umarła, to nie sposób.

— Nikogo ja nie posądzam — odpowiedział chłop — ale mi dziwno — że dziwno, to dziwno. Jakże! wczoraj mówię wam, sam ją widziałem. Nie przyglądałem się bardzo, bo cóż mi tam! idzie sobie babina, to idzie. Nawet dość prędko szła i zdaje się, że coś niosła, ale nie pamiętam co.

— Dziwno, doprawdy dziwno...

— Dowiemy się od ludzi; jakby co złego było, to się nie ukryje. Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy. Kobiecina od dzieci nic dobrego nie miała. Toć przecie po sąsiedzku wiadomo. Dawniej, skoro sobie sama gospodynią była, to owszem, dzieci pochlebiały jej, dogadzały; ale później, jak na dziecinną łaskę poszła, to już na nią niebogę, jak na burą sukę.

— Słyszałem ja coś...

— Mnie mówiła moja kobieta, a wiadomo, że baby pomiędzy sobą poufność mają; mówiła moja, że nieboszczka aż płakała przed nią na swój los. Powiada: za nic mnie dzieci teraz nie mają, jestem u nich jak popychadło. A to niech matka tu idą, a to niech matka to zrobią—a żadne nie zapytało, czy aby matka nie głodna? czy kawałka chleba nie łaknie? Po drugie, mówiła, że według Wincentego zmartwienie wielkie ma... i prawdziwie, sami wiecie, że miała.

— I nie małe.

— Spodziewać się!... Od onego podziału, jak skoro tylko powrócili do domu, zaraz do niego coś złego przystąpiło. Do chałupy mało kiedy przychodził, jakby sromając się tego, że ze statecznego gospodarza tak oto niewiadomo na co się wykierował. Widać gruntu mu było żal, a jeszcze jak przyszło z dziećmi o każdy kęs chleba się kłócić, a słuchać ich wymawiań i pomstowania, tak sobie to przypuścił do serca, że zaczął pić na urząd, z karczmy prawie nie wychodził, obdarł się jak dziad, skołtuniał, zarósł na gębie, aż patrzeć żal. Widać i z tego nieboszczka miała zmartwienie... i może ono jej się do śmierci przyczyniło.

— Mnie się widzi, że i pożywienia dobrego przy dzieciach nie miała... Ale patrzcie-no, oto i Pypeć się wlecze od karczmy, musiał mu Joel powiedzieć.

— Nie bardzo mu jakoś pilno.

— Ale! jakże pośpieszy, kiedy ledwie idzie, taki pijany.

— Chodźcie do kuźni, Macieju, — rzekł kowal,—przymkniemy trochę drzwi.

— Zimno wam?

— Nie, ale patrzeć nie chcę na Wincentego, bo mi żal, zmarnował się nieborak naszczęt.

— Jak Suchowola Suchowolą, jeszcze takiego zatraceńca w niej nie było i chyba nie będzie.

— Ha! sam tego chciał. Ja mu radziłem po dobremu, po ludzku, ale co to pomoże! Sprawiedliwie ludzie powiadają: jak Pan Bóg chce kogo ukarać, to mu rozum odbierze. Niema już dla niego żadnego poratowania, zginie kiedy marnie w rowie przy drodze, albo u swego kochanego Joelka pod ławą.

— Źle, źle! mój panie Kusztycki, — źle się dzieje!

— Wyjrzyjcie-no, czy poszedł już Wincenty?

Łomignat przez uchylone drzwi wyjrzał i rzekł:

— Juści powlókł się, jak nie na swoich nogach, ku wsi.

— No, niech sobie idzie z Bogiem, a my bierzmy się do roboty.

Ściemniło się...

Przed chałupą niegdy Pypcia, w której teraz jego dzieci rządziły, stała gromadka ludzi. Grzędzikowski między nimi rej wodził.

— Jako na ten przykład, — mówił, — nic nie

będzie bez pomiarkowania i miary, przyszedłem oto z łokciem przymierzyć, jaki nieboszczce dołek wykopać... Maleńki dołek, jako, na ten przykład, dla kurczęcia... trumienka krótka, na ten przykład... widać babinę skurczyło, na ten przykład, po śmierci.

— Co wy tam pleciecie!—zawołał Florek, syn nieboszczki,—byli małe za żywota, są małe i po śmierci.

— Głupiś ty, na ten przykład, Florciu! żebyś tyle praktyki miał, co ja, tobyś nie plótł trzy po trzy...

— Ale!

— Mówię ci, żeś głupi, mój braciszku. Trzeba ci oto wiedzieć, czego swoim rozumem nie pomiarkujesz, że śmierć bywa, na ten przykład, trojaka.

— Et, gadacie! jaka ci tam trojaka śmierć!?

— Jakbyś, na ten przykład, wiedział. Nie wsadziłeś ty niedorostku tyle korcy kartofli w ziemię, ile ja nieboszczyków na poświęconem miejscu zakopałem — i to wiadoma rzecz jest o onej trojakości...

— Gadajcież Onufry, — odezwała się jakaś babina z gromady — toć, Bogu dziękować, stara jestem, wnuki odchowałam, a jeszcze o onej trojakości nie zdarzyło mi się słyszeć.

Onufry w boki się podparł, tabaki zażył i wielkim głosem tak przemówił:

— Słuchajcie ludzie, żebyście byli wiedzące. Jest trzy śmierci, na ten przykład. Jedna tedy



— Słuchajcie ludzie, żebyście byli wiedzące—prawił Grzędzikowski.

ciągnąca, że choć za żywota maleńki człowiek był, to się po śmierci wydłuży, wyciągnie, a prawie wypięknieje, że zda się jakoby urósł — i na obliczności pogodny się stał — i oto jest śmierć sprawiedliwa, na ten przykład, z woli Boskiej: jako ze starości oto, albo jakiej choroby nawiedzenia, że człowiek przytomnie na ten przykład, przy Sakramentach Świętych, końca swego oczekuje—i umiera...

— Oh! — westchnęła babina, — zawdy Onufry, jak co powiadają, to nabożnie, że się człowiekowi grzesznemu na płacz zbiera. Daj nam Boże miłosierny taką śmierć ciągnącą!

— Amen, — odpowiedział Onufry, i dalej przedmowę swoją ciągnął.—Insza zasię śmierć,— mówił, — będzie pęczniejąca, że człowiek umarły zgrubieje niepomiernie i stanie się rozdęty jak bania, która takowa śmierć, na ten przykład, bywa z kary Bożej, dla tych, co byli opiłe i obżarte i porażone przez to są nagle, o czem się śpiewa, na ten przykład w suplikacjach: od nagłej i niespodziewanej śmierci. Ona śmierć pęczniejąca nie chodzi, jako prosta śmierć, i nie szuka człowieka w chałupie, ale zaskakuje go czy na rozstajnych drogach, czy w rowie, czy choćby, na to mówiący w karczmie, że nie wie dnia ani godziny ten, na kogo dopust Boży schodzi. Paskudna śmierć, na ten przykład...

Ludzie zbili się w gromadkę i słuchali opowiadania dziada z trwogą. Kusztycki i Łomignat, którzy tylko co nadeszli, również słuchali.

Ten ostatni odezwał się:

— Straszne powiadacie rzeczy, mój Onufry... bardzo straszne.

— Nie na tem skutek, moi ludzie, bo oprócz tych dwóch śmierci, o których wam oto powiedziałem, jest i trzecia: kuląca na ten przykład. Ta zaś na człowieka skoro przyjdzie, to go precz pokuli i pokurczy, że z wielkiego stanie się mały i jakby połamany... A nie przychodzi takowa śmierć z czego innego, tylko na ten przykład z ludzkiej niegodziwości najczęściej: ze złego ziela zadania, albo głodem na ten przykład przymorzenia. Takową oto śmierć, moi kochani ludzie, zesłał Bóg miłosierny nieboszczce, Panie odpuść jej grzechy, Magdalenie, po mężu Pypciowej...

Między ludźmi szmer zaczął się robić—Florek, który przemówienia Grzędzikowskiego słuchał, zaczerwienił się z gniewu i krzyknął:

— Ej Onufry, nie bądźcie wy bardzo mądrzy i nie plećcie oto trzy po trzy, bo możecie dostać po łbie czem twardem i przesadzone będziecie przez płot... tak, że gnatów wszystkich nie pozbieracie!

— Nie odgaduj-no, na ten przykład, nie odgaduj! Skoro dobrzy ludzie chcieli o śmierci powiedzenie słyszeć, to usłyszeli—a ty przeciwko starszemu, na ten przykład, nie szczekaj.

— Ja wam zaraz szczeknę!...—zawołał chłopak, przyskakując do dziada, ale ludzie go odepchnęli, że aż się zatoczył.

— Cicho, cicho!—zawołał Kusztycki,—sołtys idzie.

Przez tłum przepychał się Józef Gwizdał, sołtys Suchowolski, a za nim dwaj chłopi z wielkiemi pałkami w rękach.

— Ustąpcie się, które tu jesteście!—zawołał sołtys,—ustąpcie, bo ja tu nie z ciekawości, jeno z potrzeby.

— Kogo wam trzeba? — zapytała Nastka, córka Pypciowa.

— Twojej matki,—odrzekł.

— Adyć matka już nie żyją, nie dostaniecie od niej nic, choćbyście nawet dziesięć egzekucyj chcieli robić.

Sołtys nie zważał na to, co Nastka mówi, zapytał tylko:

— Gdzie nieboszczka?

— Co wam do niej? Pacierz chcecie zmówić, to mówcie.

— Pacierz—pacierzem, jako że za umarłych zawdy modlić się należy — a wy chłopcy chodźta. Jako jesteście wartowniki, więc będziecie stali przy zmarłej i pilnowali, żeby leżała, jak leży, i żeby jej nikt nie ruszał, dopóki inszego przykazania nie będzie. Rozumiecie?

— Toć... rozumiemy... żeby jej nikt nie ruszył, ani synowie, ani córka.

— A co wam do córki i co wam do matki!—wołała zaperzona Nastka.—Chrześćjańskiego pogrzebu nie chcecie dopuścić, jeno stawiacie

warty, jak nad wisielcem, albo topielcem jakim? Żeby nad wami kiedy wartę postawili.

— Cichaj Nastka, cichaj—mówił powoli sołtys—i z gębą nie wyjeżdżaj, jak ze ślepą kobyłą na jarmark.., bo pójdziesz kozę doić, jak niepyszna.

— Co wy tu za naczelnik, żebyście porządnym kobietom kozami odgrażali? Ja taka gospodyni na swoich śmieciach, jak wy na swoich, a jak będziecie się rozpanoszali, to wam przepowiem kosiorem, albo łopatą, jak ludzi szanować!

— Odstąp... pókim dobry. Mnie ani do ciebie, ani do nieboszczki nic, a że takie stoi prawo...

— Jakie prawo?!

— Takie, że skoro kto nagle umrze, to trzeba wartę koło niego postawić i wójtowi dać znać. Ja tego prawa nie robiłem, ale skoro jestem sołtys, to wartę stawiam i na tem skutek.

— Matka nie umarli nagle, chorowali ze trzy niedziele.

— Nieprawda, bo widziałem ją wczoraj chodzącą, na swoje własne oczy widziałem.

— Prawdę sołtys powiada,—odezwał się Łomignat,—chodziła wczoraj; ludzie widzieli, mogą świadczyć.

— O!—zawołała Nastka,—pewnie! Może jeszcze powiecie, że ja ją zabiłam, co?

— Czegom nie widział swojemi oczami, tego nie powiadam.

— Ale pomyślenie macie.

— Co mi do tego... od pomyślenia są sędzie, niech sobie pomyślą, na kogo chcą... Jak po-

myślą na ciebie, a każą cię do kozy wsadzić—to cię wsadzę; do powiatu odesłać—dam wartowników i odeszlę — zresztą nie mam tu tymczasem nic do roboty...

— O! Jezu miłosierny! — zaczęła zawodzić Nastka, — teraz wszyscy na nas! Jeszcze nas za zbójców podadzą. A czy to my źli byli dla nieboszczki? czy nie dogadzaliśmy jej? nie podchlebiali? co sama chciała jeść—to jadła, co chciała pić—to piła...

W tej chwili wyszedł z chałupy stary Pypeć. Oczy miał jak błędne, zataczał się.

Usłyszawszy ostatnie słowa córki, podniósł rękę do góry, ruszał przez chwilę ustami i rzekł:

— Ty, Nastka, psia wełna, łżesz—ona nic nie piła!

Rozepchnął ludzi łokciami i powoli powlókł się ku karczmie...

Kusztycki, Łomignat i Grzędzikowski poszli razem.

— Cóż wy na to, Onufry? – zapytał Łomignat dziada.

— Albo ja wiem.

— Ale jak wam się widzi, podług waszego pomiarkowania?

— Hm... Złość ludzka na ten przykład, jako wam wiadomo, wielka jest; tedy... na ten przykład...

— I cóż tedy?...—pytał Kusztycki.

— Tedy nic innego, na ten przykład, tylko nieboszczkę dzieci głodem zamorzyły.

— I mnie się tak widzi—dorzucił kowal...

Po wsi snuły się gromadki ludzi, kobiety zatrzymywały się przed chałupami, koło studzien, i nie było innej rozmowy, tylko o nieboszczce, o sołtysie, wartownikach, o dzieciach złych, o sędziach i doktorach, co pewnikiem do Suchowoli zjadą i biedną Pypciową na drobne kawałeczki pokrają.

Już i wieczór zapadł i ściemniło się całkiem, a gawędy nie ustawały, bo juści taki wypadek na wsi to niepowszednia rzecz. W pamięci najstarszych mieszkańców Suchowoli niema, żeby się taka zła przygoda we wsi kiedy stać miała.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Stypa.

Biedna stara Pypciowa! Za życia nie wiele kto na nią zważał, po śmierci zaś stała się przedmiotem szczególnej troskliwości i pieczołowitości dla całej Suchowoli.

Kiedy już zawarła powieki na zawsze, kiedy skończyła życie i znaleźli ją skurczoną na garstce słomy w zięciowej obórce, wtenczas wszyscy bez wyjątku—i chłopi, i baby, i starzy, i młodzi, zaczęli się nią zajmować, dopytywać, badać, czy nie cierpiała głodu, nie doznawała złego obejścia, czy jej jakiego ziela nie zadano.

Sołtys postawił wartę nad jej zwłokami, wójt miał zamiar całą rodzinę podejrzaną w kij związać, a mąż ze zmartwienia i żalu spił się tak, że utracił zupełnie przytomność i leżał bezwładny, jak drewno.

Na drugi dzień przyjechał urzędnik z powiatu, sędzia śledczy i doktór powiatowy z felczerem—poschodzili się strażnicy, wójt i sołtys.

Przeniesiono nieboszczkę do stodoły, pokrajano. Doktór nie znalazł śladów gwałtownej śmierci, ani otrucia, ale powiedział, że kobieta umarła z wycieńczenia tak, jakby była licho żywiona...

Aczkolwiek śledztwo nie znalazło wyraźnych poszlak przeciwko Pypiom świadczących, jednak cała wieś stanowczo się przeciw nim oświadczyła. Ludzie nie ukrywali swej ku nim niechęci i widocznie musieli dość głośno się odzywać, kiedy aż Joel postanowił wdać się w tę sprawę.

Sam przyszedł, wywołał Florka na dziedziniec i rozmowę z nim zaczął:

— Słuchaj-no Florek, panie Florek—ja tobie coś powiem...

— No?

— Jest duży interes. Ludzie po wsi o was nie pięknie gadają.

— Co mają zaś gadać?

— Ano, gadają...

— Ha, przecież nie mogę komu gęby zaszyć... gadają, to niech gadają.

— Ty Florek nie mów takie słowo. Ludzkie gadanie czasem bywa szkodliwe... A co się tyczy

gęby—wiadomo, że nie można jej zaszyć, ale jest inny sposób...

— Jaki?

— Dobry sposób. Zalać gębę, to nie będzie gadała.

— Zalać... hm... zalać, — mruczał Florek,— wiadomáć to rzecz, że zalana gęba nie taka szkodząca, jak sucha, ale...

— Już pan Florek swoim chłopskim rozumem potrzebuje szukać ale! Aj waj! co to jest, jaka wasza delikatność, jaka wasza głowa?! Tfy! mnie się zdaje, że gdyby we wsi nie było kawałek jednego żydka z głową, toby wszystkie chłopy bardzo prędko zginęli, oniby nie wiedzieli, która chałupa do kogo należy.

— Niech-no Joel nie gada. Może stare chłopy są głupie, ale my młodzi to ho! ho! My mamy rozum!

— Bądźcie sobie mądre—ale słuchajno Florek... przepraszam, słuchajno panie Florek: my mówili o tej gębie, co ma być zalana, prawdziwie nawet o tych gębach, co potrzebują być zalane. Ja umyślnie przyszedłem, żeby Florkowi powiedzieć.

— Oj, co też Joel gada!? Cóż to? ja mam wziąć flaszkę i chodzić od chałupy do chałupy— po kolei każdą gębę zalewać. Albo ja chcę! Do kryminału mnie za ich gadanie nie wsadzą. Toż ani ja, ani brat, ani siostra, ani siostry mąż matki nie zabili, a nawet nie bili.

— Aj, mój panie Florku, ja to wiem, ja to

wszystko wiem, ale zawsze lepiej, żeby oni nie gadali. Powiadają mądre ludzie tak: o kim dobrze mówią—temu dobrze, o kim źle mówią—temu już nie tak dobrze, a o kim wcale nie mówią—temu jest najlepiej. Przecież Florek, przepraszam bardzo, pan Florek, pan Florek jest kawaler...

— A juści.

— No, to pan Florek potrzebuje sobie ożenić.

— Ma się rozumieć, że potrzebuję.

— Spodziewam się! co jest wart gospodarz bez gospodyni? akurat tyle, co rubel papierowy bez numeru. Niby jest rubel, a nie rubel, niby pieniądz a nie pieniądz.

— Toć prawda.

— Pan Florek potrzebuje sobie ożenić i nie byle jak ożenić. Trzeba, żeby panna młoda miała choć kilka morgów gruntu.

— Mniej niż pięć, już najbiedniej pięć, nie wezmę, a skoroby miała dziesięć, albo i piętnaście, to i owszem. Koniec końców, od pięciu nie odstąpię, żeby ona złota była sama i perłami nadziewana, to nie chcę.

— Ja wiem, a prócz tego pewnie pan Florek chce, żeby ona miała i krowę.

— Najbiedniej dwie... a po długim targu wziąłbym jedną krowę, a przy niej jałówkę, albo byczka...

— Pewnie i pieniędzy pan Florek także żąda?

— Wiele to nie, ale zawdy choćby ze dwieście rubli muszą na stół położyć. Oho! umiem ja dobrze rachować!

— Prawda; ale dlaczego pan Florek nie rachował tego, że jak o Florku będą ludzie gadali, jak na Florka będą posądzenia, to żadna bogata dziewka za Florka nie pójdzie, chyba taka dziadówka, co nie ma ani ojca ani matki, ani fortuny, ani nawet kawałka chleba.

— Hm... albo ja wiem?

— Niechno pan Florek dobrze sobie w głowie rozważy, którąby to dziewka bogata chciała iść za takiego, na którego różne, nie w złą godzinę powiedzieć, posądzenia są? za takiego, co o nim ludzie dużo gadają? Niech pan Florek sobie dobrze rozważy i mnie powie. Ja tymczasem zapalę sobie fajkę, poczekam.

Florek zerwał się z pieńka, na którym siedział.

— Co to rozważać! wiadomo, że z takiego gadania może być przeszkoda. Ja mam upatrzoną dziewuchę w drugiej wsi.

— To jeszcze gorzej! w drugiej wsi, to już całkiem paskudnie. Jeszcze w Suchowoli, ma miejscu, pół biedy, tu się wszyscy znają — ale w drugiej wsi!... Dlaczego pan Florek szuka sobie żony w drugiej wsi?

— Bo mi się tak podoba!

— Podoba się, ja wiem, ale najgorzej z tem gadaniem. Zanim ono do drugiej wsi dojdzie,— to dziesięć razy takie urośnie.

— To może być.

— Nietylko może być, ale tak jest: tak naprawdę jest. Pamięta Florek temu dwa lata jak się jałówka sołtysowa przebiła na płocie, to

w drugiej wsi gadali, że sołtys swoją żonę przebił nożem! No, co o was mogą powiedzieć? Trzeba zalać gęby, beż żadnego gadania trzeba.

— A juści trzeba—rzekł ponuro Florek.

— Poprosić ludzi po pogrzebie, postawić kilka garncy... niech sobie podpiją...

— Eh!—mruknął niechętnie Florek,—u was mój Joelu na wszystko jedna rada: aby wam tylko z parę garncy wódki utargować.

— No, no—jak się podoba! Ja nie namawiam, ja nie każę, wolna wola słuchać. Co mnie do tego? Dużo mnie obchodzi, czy się Florek ożeni, czy nie ożeni! Czy będzie miał kobietę bogatą, czy dostanie taką żonę, co za cały majątek dostanie starą miotłę? Bądźcie zdrowi, mnie czas iść, naco ja mam tu siedzieć—poco?... Kto mi da za to siedzenie trzy grosze?...

Joel rzekłszy to, ku odejściu się zabrał.

— Joel,—zawołał Florek.

— Ny?...

— Tak, czy siak... niech tam parę garncy będzie naszykowane.

— Do woli fundatorów, parę beczek nawet,—odpowiedział obojętnie żyd i odszedł w swoją stronę.

Nie łatwo było sprosić gromadę do karczmy po pogrzebie starej Pypciowej, pomimo, że familja bardzo szczerze zapraszała. Był to pogrzeb nie taki, jak wszystkie pogrzeby. Jakiś dziwny, opaczny. Nieboszczka pokrajana, opisana na wszystkie boki, dzieci nie płaczące, mąż jak na wpół głupi... Ksiądz słowo powiedział

nad grobem, ale też nie takie, jako zazwyczaj na pogrzebach mówi, bo więcej tam było o czwartem przykazaniu, o poszanowaniu rodziców, aniżeli o śmierci.

Ludzie wzdychali, spoglądali jedni na drugich, a kiedy Grzędzikowski grób zasypał, zaczęli się rozchodzić powarzeni i smutni...

Napróżno Florek zapraszał: jedni wymawiali się brakiem czasu, drudzy wcale nie odpowiadali.

Niezawodnie byłaby stypa do skutku nie przyszła, gdyby nie Grzędzikowski.

On się wdał.

— Słuchajcie-no, na ten przykład, ludzie,— rzekł do idących obok niego chłopów,—tak nie można.

— Niby jak?

— A no, skoro na ten przykład syn prosi, żebyście wstąpili na poczęstunek, to trzeba iść...

— Nie żądniśmy jego poczęstunku.

— Wielka rzecz,—odezwał się Łomignat,— jak zechcemy, to i sami możemy sobie poczęstunek zrobić. Może nie prawda, Onufry?

— Na jedno prawda—a na drugie nie.

— Ale!

— Czekajcie—zaraz wam to przetłumaczę, na ten przykład. Jeżeliby na ten przykład, Florek w innym czasie was prosił, wolno wam iść albo nie iść, według waszego pomiarkowania—ale skoro, oddawszy, na ten przykład, przysługę nieboszczce, prosi was, którzyście byli obecni chrześcijańskim obyczajem—to tak jest, jakby on nie

prosił sam, ale właśnie ta dusza zmarła, za którą mówiliście, na ten przykład „wieczny odpoczynek“—a skoro dusza zmarła prosi... to się odmawiać, na ten przykład, nie godzi.

— Może i prawda,—rzekł Łomignat.

— Tak, tak! i powiadam wam ludzie: nie bałamućcie, jeno chodźcie, skoro was proszą.

— A no, kumie, możebyśmy i poszli?

— Chodźmy, chodźmy,—odezwało się kilku.

Po niejakim czasie ze dwudziestu chłopów i kilkanaście bab znalazło się w karczmie.

Florek rolę gospodarza odgrywał—nalewał wódkę, zachęcał do picia.

Stary Pypeć, zarośnięty jak dziad, obdarty, siedział przy stole, głowę na ręku oparł i płakał.

Grzędzikowski zbliżył się do niego.

— I czegóż wy, mój Wincenty, tak lamentujecie?—zapytał.

— Et, psia wełna... zmarło się oto kobiecie...

— Każdemu, mój Wincenty, na ten przykład, się zamrze i lamentować niema czego. Wola Boska! Jej dziś, nam jutro—a wszyscy ludzie powinni zawsze być gotowi jakoby do drogi, na ten przykład. Napijcie się z nami.

— Piło się.

— Można jeszcze.

— Wiadomo, że można... ale co się kobiecie zmarło, to zmarło...

— Niech spoczywa z Bogiem. W wasze ręce!

To mówiąc, dziad łyknął haust potężny, splunął i otarł twarz szorstkim rękawem kapoty.

— Dobra wódka, prawdziwa żytniówka!— rzekł.

— O, macie recht, zaraz poznaliście, że to z żyta!—zawołał Joel,—to znawca! ja sam myślałem, co ona z kartofli!

— Ale z żyta, z żyta, wiadoma rzecz.

— Poczem tak Grzędzikowski miarkuje?—zapytał Florek.

— Ha, sposób mam. Wypiło się już trochę gorzaliny w życiu.

— Wieśby zalał...—odezwał się sołtys złośliwie.

— Pewnie,—odrzekł Grzędzikowski,—nawet i miasto głupiemi głowami brukowane, nietylko wieś.

— Widzi mi się, dziadu,—rzekł sołtys,—że wy sobie ze mnie pokpiwacie, pamiętajcie, że wasza rzecz dzwonów pilnować.

— Ma się wiedzieć, na ten przykład... jeden dzwoni we dzwon Panu Bogu na chwałę, drugi dzwoni w blaszkę djabłu na pociechę.

— Już wy sobie za dużo pozwoleństwa dajecie.

— A tak... do żony po pozwoleństwo nie chodzę.

— Cichajcie, cichajcie,—odezwał się Jan Stępór,—dajcie spokój. Lepiej oto, skoro tu jesteśmy, o serwitucie pogadać.

— Co tu gadać,—odrzekł Łomignat,—skcrośmy podpisali Suchowolskie gospodarze i skoro dziedzic podpisał godnie, sprawiedliwie, bez żadnej sprzeczki, to i skutek.

— Jeszcze niema papierów z komisji.

— To i przyjdą.

— Lepiej, żeby nie przychodziły,—odezwał się Florek.

— A to dlaczego?

— Bo... boście... gospodarze głupio zrobili.

— Florek!—odezwał się stary Pypeć, który piąte przez dziesiąte zaledwie z tej przemowy rozumiał,—Florek ty, psia wełna, nie doszczekuj za dużo...

— Et, siedzielibyście ojciec cicho, skoro wam ciepło i skoro macie co w grzdykę lać. Nie wasza głowa na to, żebyście zmiarkowali, co ja myślę.

— Ho! ho!—wtrącił Grzędzikowski,—a to ci, na ten przykład, jajko chce mądrzejsze być od kury!

— Słuchaj-no Florek, — rzekł po namyśle Stępor,—prawdę powiedziałeś, że ty dobrą głowę masz... ale takich głów na świecie nie brak, dość ich po kryminałach siedzi...

— Ja nie siedziałem i siedzieć nie będę.

— Nie zarzekaj się, na ten przykład, Florciu,—odezwał się Grzędzikowski,—nie zarzekaj, jako że człowiek nie wie ani dnia, ani godziny. Może ci jeszcze przyjść na taki koniec, robaczku.

— Głupi stary!—krzyknął Florek.

— Bez obrazy Boskiej, na ten przykład, mogę ci dać dobrą radę: jeżeli starym nie chcesz być, tedy się za młodu, na ten przykład... powieś.

— Sami się powieście.

— No, no,—rzekł sołtys,—osobliwszy teraz świat. Widzę, Florku chciałbyś, żeby nie głowa była do rady, tylko noga.

— On taki mądry,— widzicie Józefie,—dorzucił Jan.

— Wiadomo.., aż mu matka z tej mądrości zmarła,—rzekł Łomignat.

— Chodźmy stąd, — odezwał się Stępor. — Skoro nam ten smyk dogaduje, niech-że my tego nie słuchamy.

— Chodźmy! chodźmy! — odezwało się kilka głosów.

— Niech sam sobie pije.

— Nie potrzebujemy jego poczęstunku!

Florek chciał się tłumaczyć i usprawiedliwiać — ale nie słuchano go. Karczma w jednej chwili opustoszała, nawet Grzędzikowski, który miał wielką ochotę zostać, poszedł za gromadą.

— Ny, co panie Florek?—zapytał Joel.

— A niech ich marności ogarnął..

— No, no... Ja nie wiem, czy teraz który zechce Florkowi córkę za żonę dać... To będzie trudny interes do zrobienia. Pfe, Florek chciał im gęby zalać, a swojej nie potrafił dobrze zamknąć. Co to za polityka jest? Pfe!

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Smutny koniec Wincentego Pypcia.

Stary Pypeć na psy zeszedł. Joel, nie mając z niego pożytku, bo się dziadowi robić nie chciało, wypędził go z karczmy; do dzieci dziad iść nie chciał, a i nie zapraszały go one wcale—więc tułał się po wsi, a gdy wiosna nadeszła, tułał się po polach i lasach. Ludzie z nim nie wdawali się, a i on też ludzi unikał, bo widać czuł swój upadek i wstydził się go—zdziczał też całkiem. Jeżeli kiedy po długiem dopominaniu się dostał od dzieci kilka złotych na rachunek ordynarji, co zresztą rzadko się trafiało, bo synowie nietylko pieniędzy, ale nawet kęsa chleba mu żałowali, to zaraz do karczmy szedł i nie wychodził z niej, aż wszystko do ostatka przepił. Wtedy Joel wołał do pomocy żydziaka, którego sobie do posługi był przyjął, i we troje, przy pomocy Bruchy, wywłóczyli dziada za próg karczmy, na drogę. Nieraz całą noc przeleżał tak na zimnie, z gołą głową, bo czapkę przy szamotaniu się z żydami zgubił.

Nie wiadomo czem żył, bo prawie nic nie jadał prócz chleba,—wódką się tylko zalewał bez miary.

Widywano go, jak błąkał się po polach, po lesie, wymachiwał rękami, mówił do drzew, do bydła, co się na polu pasło—jak nawiedzony, albo ten, co mu się rozum całkiem pomięszał.

Czasem widywano go, jak stał w kępie olszyny i perorował do drzew:

— Słuchajcie, psia wełna, ludzie! gospodarze! gromada! które jesteście tu w kupie! przyszliście oto, psia wełna, żeby radzić... A dyć Boże miłosierny! tyla ziemi na świecie jest, tyla łąk, psia wełna, borów, lasów, wody... wszyscy ludzie mają po kawałeczku, jeno Pypeć, psia wełna, Wincenty nie ma nic, nie ma! nie ma! Cóż stoicie, jak słupy i nie gadacie nic? hę? Mój Józefie! mój sołtysie kochany, psia wełna,—mówił obejmując rękami grubą olszynę,—toć przemów! odezwij się, nie bądź taki hardy, jako jesteś!... Ha, nie gadasz!? nie gadasz!? A żeby cię pokręciło! żeby cię nagła śmierć... poczekaj, ja ci sprawię wesele—będziesz pamiętał Wincentego Pypcia, jako jest jeszcze mocny w garści!...

To mówiąc, zaczął łomotać kijem w drzewo, uderzał tak mocno, że aż kij na drobne kawałeczki połamał—poczem sam zmęczony, wyczerpany z sił, padł na ziemię.

— Oj, psia wełna,—jęczał,—oj, nie wytrzymam chyba. W piersiach pali, jakby żaru w nie nasypał, we łbie huczy, świszcze, klekocze... w plecach kole. Joel psia duszo, przyjdź tu, ruchaj się, postaw bańki. Ha! zapomniałem .. ty nie cyrulik... ty tylko Joel! No, natocz blaszkę,

kiedyś Joel. Nie chcesz, psia wełna! pytasz, kto zapłaci? Ja zapłacę, ja! Pypeć, psia wełna, Wincenty, gospodarz Suchowolski sprawiedliwy... Pytasz, gdzie moje gospodarstwo... Co to? nie, znasz niedowiarku! moje gospodarstwo het jak widzisz, wskroś, co tylko widzisz, to moje. Lasy moje, pola moje, łąki moje! Wódki tyle nie masz, cyganie jeden, ile z takiego majątku wypić można...

I długo, długo tak perorował leżąc, aż Grzędzikowski, który przypadkiem przechodził tamtędy, przerwał mu:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! a toć to wy, na ten przykład, Wincenty. O mało żem na was nie nadeptał!

— Depczą ludzie, Joel depcze, depczcie i wy...

— Co wy tu robicie? Z kim rozmawiacie?

— Leżę sobie i rozmawiam z całą kompańją.

— Z drzewami chyba... Wstydźcie się oto, na ten przykład, żeby do drzewiny przemawiać, która nieżyjąca jest i duszy nie ma!

— A toście tęgo zełgali, bo właśnie, że w drzewinie każdej dusza jest i siedzi, psia wełna, w samem rdzeniu.

— Już wy mnie na ten przykład nie pouczajcie. Ja zęby zjadłem przy kościele, od maleńkości służąc, to się na duszach znam.

— Znawca, psia wełna, dziad... Skoroście tacy mądrzy, to powiedzcie, czy ja mam duszę, czy nie?

— I macie, na ten przykład, i nie macie...

a bardziej nie macie, niźli macie... Bo jakeście przyszli, na ten przykład, na świat, to wam dana była dusza do was należąca—a teraz nie macie, boście ją, na ten przykład, djabłu zaarendowali, a może i zaprzedali całkiem. Pamiętacie, Wincenty, parę lat temu wieczór, jako wam mówiłem i radziłem, żebyście choć czasem do kościoła zajrzeli...

— A juści, będę ci chodził do kościoła, w takiej sukmanie obdartej.

— Pan Jezus, na ten przykład, na odzienie nie patrzy.

— Może i nie patrzy, ale ludzie, psia wełna, ludzie wytrzeszczają ślepie i zaraz biorą człowieka na języki. Śmieją się.

— To niech się śmieją. Wy na to nie pytajcie.

Pypeć podniósł się, oparł o drzewo i patrzał na dziada błędnemi oczyma.

— Ja wam jeszcze i teraz powtarzam,—rzekł Grzędzikowski,—jako na ten przykład, czas się opamiętać... bo ani się obejrzycie, jak was złe porwie, jak swoje. Pójdźcie do wody, umyjcie się, pójdźcie do córki, niech wam da czyste oblekczenie i niech weźmie nożyce i obetnie wam, na ten przykład, kołtuny, żebyście byli podobni do ludzi. Przeżegnajcie się, pacierz zmówcie, to was złe odstąpi... nie będzie miało mocy nad wami, nie będzie was wodziło po polach, ani po lasach. Tfy! na ten przykład, Wincenty, takeście się dali opętać, że już nawet z drzewami rozmawiacie

a podobno i z bydłem. Słuchajcie mnie, jako wam dobrze życzę.

— I co mam robić?

— Ha! choćby sakwy sobie uszyć, żółwiową skorupkę do garści wziąć i przed kościołem siadać.

— Na dziady? tu, w Suchowoli!

— A jeżeli wam na ten przykład wstyd, to idźcie do drugiej parafji.

— Na dziady, na dziady,—powtarzał Pypeć bezmyślnie—niedoczekanie twoje, psia wełna! Sam ty dziad jesteś... i drugich dziadami chcesz robić... Hej! Onufry! posłuchajcie-no Onufry...

— A co?

— Wy skąd tu przyszli?

— Chodziłem na kolońje do jednego człowieka.

— A teraz dokąd idziecie.

— Dokądżeby? do domu.

— Skoro tak, to idźcie se do djabła, psia wełna i porządnym gospodarzom drogi nie przestępujcie, bo dostaniecie po łbie, aż wam się jasności pokażą.

— Tak?

— A tak...

— Skoro tedy tak, to ja sobie, na ten przykład, idę, a was niech Bóg ratuje, skoro dobre ludzkie słowo nie ma do was przystępu.

Pypeć powlókł się do lasu i zniknął w zaroślach, Onufry zaś skierował się ku domowi.

— Straszny dziad, na ten przykład,—mówił do siebie półgłosem,—całkiem zatracony; już je·

mu ani dobre słowo, ani rada nie pomoże. Przepadł chłopisko na amen... A był na ten przykład swego czasu, jak się patrzy... Złe go opętało, nic jeno złe. Żebym ja się księdza nie bał, to sprobowałbym jeszcze do starej Walentowej, na ten przykład, która znająca jest kobieta na wszystko i odczynić i zamówić i okadzić potrafi... ale boję się. Gdyby się ksiądz dowiedział, dałby mi ducha. Powiada on na ten przykład, że nie chrześcijańska to i nie katolicka rzecz w zamówienie i odczynienie wierzyć .. Juści prawda, bo prawda. At! cóż mi tam! Nie brat mi on, nie swat, ani nie żona... cóż się mam za nim rozbijać, kiedy nawet dobrego słowa nie da. Niech go Bóg miłosierny poratuje...

Pypeć szedł w las, coraz dalej i dalej; zatrzymał się nad bagnem: żaby przestraszone odgłosem jego kroków skakały z brzega i kryły się w mętnej, prawie czarnej wodzie.

— Żaba, psia wełna! - półgłosem mówił Pypeć, - bojące stworzenie. Żaba! niech ją psi zjedzą... Szedł sobie zając i markotny był, psia wełna, i płakał... płakał... a juści tak, bo go mankolija zdjęła, jako marny jest zajęcowy los. Żadne stworzenie nie boi się zająca, a on się psia wełna boi każdego stworzenia. Aż przyszedł zajęczysko nad rzekę według tego zmartwienia i tak sobie gadał:—Utopię się, psia wełna, i skutek! Na mnie człowiek, na mnie pies, i lis, i wilk, i jastrząb, i sowa. Utopię się... Chce buchnąć se w wodę... a tu żaby kic! kic! plusk!

plusk... ze strachu przed onym zającem. Hardość go wielka zdjęła, że i jego się boją — i już się nie topił. Chodził se po lesie, łeb zadarł, wąsami ruszał i precz żaby straszył nad bagnami... aż trafili go psi i zjedli w onej hardości... Joel! cyganie ty! Daj gorzałki. Płaciłem ci dość, teraz możesz dać i bez pieniędzy...

Poszedł dalej; zapomniał o zającu, o Joelu, o wszystkiem, szedł z rękami wyciągniętemi naprzód, jak człowiek, który w ciemności szuka. A jeszcze ciemno nie było, szarzało dopiero w lesie.

Znów zatrzymał się, siły go opadły, usiadł pod drzewem.

— Było, było,—mówił,—morgów dwadzieścia i jeden, a znowu cztery morgi lasu, co za serwitut, a przykupiłem z pięć, toby się zebrała cała włóka. Cała włóka, psia wełna. Pypeć pan! pan Pypeć, bogacz Pypeć... Jeno we łbie huczy a huczy... A tamten psia wełna dogaduje, doradza, precz gada: masz ty Wincenty postronek? masz Wincenty postronek? Dyć mam, opasany nim jestem... A on znów dogaduje: a widziałeś ty ten dąbek przy drodze, koło biedrzańskiej granicy? dobry dąbek! A dobry, co ma zaś niedobry być. Dąbek na słupek samo prawie... Dąbek, at! czy dąbek, czy grusza jeden skutek... Trzeba iść do onego dąbka... Oj nieszczęście moje, nieszczęście; w piersiach ogień, we łbie huk. Przed oczami raz jasność, raz ciemność... jakieści robaki i zwierzęta frułwają w powietrzu.

jakieści muchy po drzewach łażą. Zasłonię oczy, a przecie widzę to plugastwo, tańcuje ono koło mnie i skacze...

Przy dróżce granicznej krzyż stał—blask księżyca padał na niego.

Pypeć patrzał długo... patrzał osłupiałym wzrokiem, nareszcie płaczem wybuchnął i na kolana padł.

— Chryste Jezu!—zmiłuj się nademną!—zawołał.—Boże miłosierny! byłem gospodarzem na swojem dziedzictwie, a dziś przez niegodziwość dzieci poniewieram się oto... i chodzę bez pamięci... jako błędny. Pijak ci ja dziś jestem, psia wełna, bo pijak, ale przecie żyję. Zmiłuj się nademną! Grzech na swoje życie dybać... ale on woła, woła, powiada: chodź, chodź, nie będziesz miał huku we łbie, nie będziesz miał ognia w piersiach, nie będą cię dzieci palcami po wsi pokazywały. Oj! Jezu, ratuj mnie, ratuj, bo mnie ciągnie za łeb, prowadzi, prowadzi... Snać taki mój los marny, taka dola zatracona... Onufry powiada: do kościoła idź... A pocóż ja tam pójdę, kiej nawet pacierza zmówić nie potrafię... Ja „Ojcze nasz," a on powiada: chodź! mani na różne głosy, świszcze, gra, śpiewa, zwierzęta ze skrzydłami pokazuje... O, ratuj Jezu, ratuj!

Padł twarzą na ziemię, jęczał, bił się w piersi: a potem nagle zerwał się na równe nogi, krzyknął przeraźliwym głosem i pobiegł dalej w zarośla...

Nad ranem, gdy dzień się już robił, dało

się słyszeć skrzypienie wozu. To Joel powracał z Biedrzan, dokąd jeździł po kupno okowity. Furmanka była wynajęta w Suchowoli od chłopa, co się Mucha nazywał. Powoził parobek Muchy—Jacek, a właściwie nie powoził, bo spał, zwiesiwszy głowę na piersi; i Joel także spał, a konie wlokły się noga za nogą powoli, gdyż ciężar był duży, a droga piasczysta.

Przy samej granicy biedrzańskiej szkapiny przystanęły—i głodne, zaczęły skubać trawkę—wóz nad samym rowem pochylił się.

— Jacek! Jacek!—zawołał, przebudziwszy się, Joel.

— A co?

— Czego ty gałganie stoisz?

— A nie widzisz to żydzie, że ja przecie nie stoję.

— Jakto nie stoisz?

— Przecie siedzę na wozie, jeno konie stanęły.

— Bierz się na prawo, bo wylecimy do rowu.

— Ha! jak wylecimy, to wylecimy, nie do nieba, jeno do ziemi.

— Ty głupi jesteś! jak się kufa rozbije, to kto mi za okowitę zapłaci?

Jacek ściągnął lejce, uderzył konie batem i wóz, skrzypiąc, potoczył się po drodze.

— Jacek!

— Co?

— Jakie ty masz głupie przyzwyczajenie, żeby w drodze spać!?

— O, przyzwyczajenie! widzicie go! to tylko żydy przyzwyczajone są spać na furze; zaś człowiek jeno się krzynkę zdrzemie.

— Żydy! żydy! u was wszystko żydy! Co się stanie, to żydy. Wy niedługo będziecie gadali, że jak koń ogonem rucha, to także żydzi winni.

— Bo i pewnie...

Joel nie odpowiedział, gdyż uwaga jego zwrócona była na co innego: zdawało mu się, że poza krzakiem, pod dębem, stoi jakiś człowiek... Stoi ciągle nieruchomo, w jednakowem położeniu, jak gdyby coś niedobrego zamierzał.

Joel się zląkł; zdawało mu się, że jakiś rozbójnik czatuje, aby napaść z nienacka, ograbić biednego żydka z gotówki i zabrać mu cały transport okowity. Kto wie? może nawet jest w zmowie z Jackiem? Teraz takie czasy, że można się wszystkiego spodziewać. Jacek zawsze patrzy ponuro, a jak się odezwie, to jak prawdziwy zbójca...

Joel myśli, jakby uratować życie—to jest pierwszy interes, drugi interes, jakby uratować kilkadziesiąt rubli, jakie ma przy sobie; trzeci, w jaki sposób ocalić okowitę. Zdaje mu się jednak, że wszystkie te trzy interesa wogóle nie są pewne... Wolałby ich nie znać.

Tymczasem wóz zbliża się ku owemu człowiekowi...

— Jacek! Jacek!—odzywa się Joel,—słuchajno panie Jacek, mój kochany panie Jacek!

— Cóż ci się tak na kochanie zebrało?

— Co się miało zebrać? fe! Było uzbierane—ja was zawsze bardzo lubię—ja zawsze dla was życzliwy. Pamiętacie, jak wam przeszłego roku dałem półkwaterek wódki na kredyt?

— Ale wzięliście nową czapkę na zastaw...

— Wielki interes! Przecież ja wam tę czapkę oddałem.

— Jacek! mój panie Jacek... proszę was, czy wy nie wiecie, czego ten człowiek chce?

— Jaki człowiek?

— Nie widzicie? wy, Jacku, nie widzicie tego człowieka?

— Gdzie?

— Przecież on stoi niedaleko... tam,.. patrzcie za krzakami... Mnie się zdaje, że on coś niedobrego myśli.

Jacek spojrzał na krzaki.

— Juści prawda! Stoi on niby, ale jakoś cudacznie... ludzie tak nie stoją zwyczajnie. Coś w tem za sztuka jest... trzeba obaczyć!..

— Po co wy pójdziecie zobaczyć?

— Bom ciekaw.

— Po co wy Jacku jesteście ciekawi? Nie, nie chodźcie. Ja was proszę, nie chodźcie.

— Pójdę.

— A ja się tu sam zostanę? ja się boję... I wy Jacku nie chodźcie! nie wiadomo, co za człowiek, może to jaki zbrodniarz? może broń Boże zbój? jeszcze wam krzywdę zrobi.

— Albo to ja nie mam pięści. Niechby spróbował!



O la Boga!—zawołał Jacek,--to Pypeć Wincenty.

— Prawda, wy macie pięści, wy jesteście mocarz. No, ale kiedy koniecznie chcecie iść, to

ja też pójdę za wami. Ja nie chcę zostać przy furze; albo ja wiem, może tu koło drogi za krzakami jest więcej takich. Ja się boję.

Poszli. Jacek naprzód, za nim Joel przerażony i drżący. Minęli krzaczki i ujrzeli owego strasznego człowieka.

— O la Boga!—zawołał Jacek,—patrzcie-no Joel, toć wisielec! To nasz gospodarz suchowolski, Pypeć Wincenty!

— Aj waj! co ten stary gałgan zrobił? Co on zrobił?

— Toć widzi Joel... powiesił się... To ci los dopiero! żeby sobie samemu życie odbierać...

— Jacek!—zawołał Joel, widząc, że parobek dotyka ręką Pypcia,—Jacek! ty jego nie rusz! nie rusz jego, ja ciebie bardzo proszę.

— Patrzę, może jeszcze żyje...

— Czy ty Jacek chcesz mieć kryminalną sprawę?! czy nie wiesz, że takiego człowieka nie można ruszać, że to wielka odpowiedzialność jest?

— Zimny już,—rzekł Jacek,—musiał się snać z wieczora, albo w nocy powiesić.

— Jacku, słuchajcie Jacku, my jedźmy, co my tu mamy stać? Aj waj! Pfe! niech moje wrogi mają takie widoki. Fe, ja już jestem chory! ja nie będę mógł jeść, ani spać... Po co on się powiesił, czy nie mógł sobie żyć spokojnie? Kto jemu bronił żyć? Albo mu to było źle? albo nie miał u mnie kredytu, ile tylko sam chciał?

— Oj pewnie... żyłby on jeszcze dotąd, że-

by do was nie chodził i w waszem karczmisku nie przesiadywał. Żyłby niezawodnie.

— Pfe!—zawołał Joel spluwając,—gdzie sprawiedliwość jest? Wy powiecie zapewne, że to ja go powiesiłem!

— A juści, że nie co...

— Jacek! ja was proszę, nie powtarzajcie wy takie paskudne słowo, i pamiętajcie, że za fałsz mógłbym was skarżyć do sądu.

— Toć nie do ludzi powiadam, jeno do ciebie cyganie, w same oczy... Będzie teraz ten Pypeć po śmierci co noc do ciebie przychodził.

— Słuchajcie, Jacku. Jedźcie wy pomaleńku z okowitą do domu, ja polecę naprzód piechotą. Już dzień jest dobry... wolę sobie sam iść, niż słuchać wasze gadanie.

— A to niech sobie Joel idzie... jeszcze lepiej, będzie koniom lżej.

W pół godziny później już Joel był we wsi i opowiadał ludziom, co widział.

Śmierć starego Pypcia sprowadziła znowu do wsi komisję. Przyjechał sędzia i doktór, pokrajali dziada, opisali go i wrócili do miasta. Zwłoki samobójcy pochowano na piaszczystym wzgórku za cmentarzem. Ludzie, w nocy zwłaszcza, omijali to miejsce ze strachem.

Dzieci Pypcia straciły we wsi mir całkiem, ludzie zaczęli od nich stronić; Ignac rozłajdaczył się i zaczął pić na podobieństwo ojca; a Florko-

wi, pomimo, że aż do dziesiątej wsi zabiegał, nie udało się znaleźć dziewuchy, którаby chciała zostać jego żoną. Sprzedał też swoją część i powędrował daleko. Podobno do złodziei przystał i broi, dopóki go do kryminału nie wsadzą.

K O N I E C.

.... St. „Gospoda Polska“

za przetrzymanie książki poza wskazany termin abonament płaci 5 fen kary za każdy dzień.